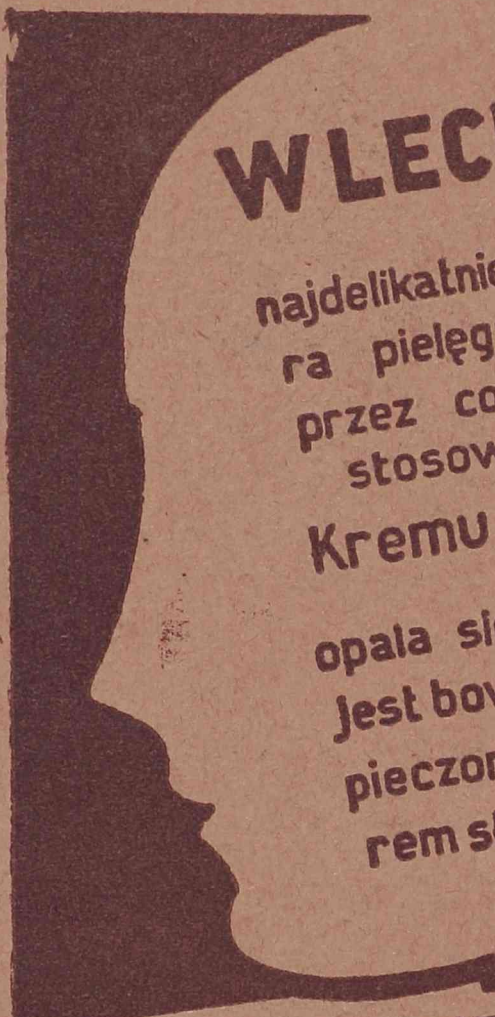


Nr. 29.16.VII.1932

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE





WLECIE....
 najdelikatniejsza skóra
 pielęgnowana
 przez codzienne
 stosowanie
 Kremu Simon'a,
 opala się normalnie,
 Jest bowiem zabez-
 pieczona przed za-
 rem słonecznym.

CRÈME SIMON
 Paris

ZE ZMARSZCZKAMI, PIEGAMI,

PODBRÓDKAMI I ZŁĄ CERĄ PAŃ NIE BĘDZIE.

Panie chcące pozbyć się zmarszczek, pie-

gów, podbródków, mieć na-

prawdę ładną

cerę, ładną szyję i kla-

syczny owal twarzy, pofatygują się od

11 do 8, pracujące panie w niedzielę od 2-ej do 8-ej

HOŻA 41 — 7. PADEREWSKA ZOFIA LUDWIKA

Chcesz mieć w
 czystości utrzy-
 mane mieszkanie
 kantor czy biuro
 korzystaj ze stałych
 usług firmy

WARSZAWA,
 ŻÓRAWIA 38 — 10.
 Telefon Nr. 290-32

I. Elżanowska

Kantor czyszczenia okien wystawo-
 wych, wstawiania, kitowania szyb,
 cyklinowania i froterowania posadzek,
 reparowania linoleum, odkurzenia
 mebli, dywanów elektrycznymi odku-
 rzaczami. Pakowania okien na zimę

CERĘ udelikatnia, zapobiega zmarszczkom
 i rozgładza Krem

MISS POLONJA

nadając wygląd świeżości i młodości.

Pod puder niezastąpiony Krem

ZULA Klimeckiego

Warszawa, Niecała 5.

Co otrzymuje prenu- merator „ŚWIATA” za 5 zł. miesięcznie?

- 1) Co tydzień zeszyt „Świata” za-
 zawierający zawsze ciekawą i ak-
 tualną treść oraz obfite ilustracje;
- 2) Co tydzień kupon zniżkowy (50%)
 do b. teatrów miejskich w War-
 szawie;
- 3) Raz na miesiąc duży tom intere-
 sującej powieści.

Prenumerata miesięczna z odnośzeniem
 do domu: zł. 5.50, na prowincji zł. 6.—.

Cena pojedynczego numeru
 wynosi w całej Polsce zł. 1.—.



Bądź nowoczesnym
 i podróżuj samolotem!

Informacje i bilety:
 Tel. 547-60, 808-50
 i biura podróży.

„ŚWIAT” rozchodzi się na całą
 Polskę: od Bałtyku po Karpaty
 i od Wileńszczyzny po Śląsk.
 A więc ogłoszenie w „Świecie”
 dociera do wszystkich

Stefan Krzywoszewski
T E A T R

I TOM:
WALKA — GŁUSZEC —
KOŁOMBINA.

II TOM:
PANIENKA Z DANCINGU —
AKTORKI — RUSAŁKA.

III TOM:
NOC SYLWESTROWA —
ZMARTWIENIA PANA HAM-
MELBEINA — EDUKACJA
BRONKI.

Cena księgarska 3 tomów zł. 30

Dla prenumeratorów „Świata” uzyskaliśmy
zniżkę na zł. 12.

ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 16-go LIPCA 1932 ROKU
ROK XXVII • NR. 29 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

NIE MARTWY SIĘ!

Tem, że słońce nie dopisało, lub kryzys
nie pozwolił nam wyjechać z miasta!

P U D R Y

„MULÂTRE”

i „CREOLE”

M. MALINOWSKIEGO

nadają cerze przepyszny, brązowo
złoty koloryt, mogący konkurować
z opalenizną szczęśliwych wy-
branek losu, powracających
z letnich wyczasów.

Apteka, ul. Nowy Świat 31
Laboratorium Chem. Farm.
Apteki, ul. Chmielna 4



**CZEKOLADA DESEROWA
WEDLA**

mało cukrzona, niezrównanej dobroci.
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.



Walka ośła ze słoniem

Przed wyborami prezydenta Stanów Zjednoczonych

Demokraci amerykańscy i ich kandydat na Prezydenta, gubernator stanu New York, p. Franklin Roosevelt, są jeszcze wprawdzie bardzo dalecy od zwycięstwa wyborczego w listopadzie nad republikanami i ich kandydatem, obecnym prezydentem Herbertem Hooverem, — ale jeden poważny sukces już odnieśli: Owacja dla Hoovera po ogłoszeniu go kandydatem partji republikańskiej trwała dwadzieścia siedem minut, podczas gdy demokraci całe czterdzieści trzy minuty wiwatowali na cześć swego wybrańca.

Z dwóch konwencji przedwyborczych, które odbyły się w ubiegłym miesiącu w nowym stadjonie w Chicago, wybudowanym dla przyjęcia gości światowej wystawy w przyszłym roku, demokratyczna stanowczo była ciekawsza i bardziej ożywiona. Republikanie są partją u władzy, są przedstawicielami zamożnego mieszczaństwa i purytańskich farmerów olbrzymiego Środkowego Zachodu, głosują na nich anglosasi pełnej krwi, Niemcy oraz narody skandynawskie. Dobrze zarabiający i pewni swego zarobku kolejarze, pracownicy państwowi i inni, zatrudnieni w tak zwanych „chronionych” gałęziach pracy, również oddają swe głosy na Partję Słonia, (emblem republikańców w odróżnieniu od demokratycznego ośła) obok murzynów stanów południowych, którzy nie mogą zapomnieć, że ich z przed siedemdziesięciu laty ciemniejący, właściciele wielkich latyfundjów bawełnianych, pozostali do dziś dnia wierni partji demo-

kratycznej. Republikanie zgóry wiedzieli, kogo wybiorą: kandydatura Hoovera była bezsporna, i obrano go prawie jednomyślnie. Zresztą, konwencje republikańskie znane są z tego, że tam wszystko jest zgóry przygotowane, że delegaci mają mało swobody, że, gdy mają wątpliwości i nie czują się związani instrukcjami lokalnymi, to idą po poradę do swoich „bosów” — przywódców albo naganiaczy, jak kto woli.

O demokratach powiada się, że jeżeli ich delegaci na konwencję zwolnieni są od instrukcji wiążących, to każdy postępuje tak, jak mu się podoba. Indywidualizm bowiem wypełnia powietrze, którem oddycha konwencja demokratyczna. Tłum delegatów demokratycznych łatwo się podnieca, jest mniej praktyczny, wdaje się w walkę z towarzyszami partyjnymi, zamiast walczyć ze wspólnym wrogiem. Etniczny skład też jest zupełnie odmienny. Arystokratyczny puritanizm anglosasów ustępuje tutaj miejsca demokratycznemu katolicyzmowi Irlandczyków, którzy rejdą wśród demokratów, wspomagani przez innych Celtów ze Szkocji; „pośledniejsze” rasy grupują się dokoła demokratów: Włosi, Żydzi, Słowianie różnego auto-ramentu. Demokraci są również dość oryginalną mieszaniną społeczną bogatych właścicieli ziemskich z południa, najgorzej uposażonego i niepewnego jutra proletariatu fabrycznego i kopalnianego, mieszczaństwa irlandzko-żydowsko-włoskiego wschodnich stanów, głównie Nowego Yorku.



MÓWCY ZDOBYWALI SUKCES POTEŻNYM
GŁOSEM I SZEROKIM GESTEM

Właściwie ani Republikanie, ani Demokraci nie są partją polityczną, jak my je rozumiemy. Są to organizacje polityczne, w których programy i przekonania mniej znaczą, niż tradycje i przyzwyczajenia historyczne, niż animozje religijne, niż lokalne interesy i waśnie. Są to zleпки, które trzymają się czem innem w Południowych Stanach, gdzie murzyn jest z reguły republikaninem, a biały ziemianin z reguły demokratą, a czem innem w Nowym Yorku, gdzie katolik — Irlandczyk i Żyd są demokratami, a człowiek o starym nazwisku angielskim — republikaninem. Te zleпки trzymane są powtarzającymi się co 4 lata wyborami prezydenckimi, które przekazują władzę i wszystko, co władza daje — jednej z partji. A władza daje bardzo wiele w Stanach Zjednoczonych, szczególnie, jeżeli chodzi o sprawy materialne — i stąd, przy amerykańskim systemie wyborczym, w którym istnieją szanse tylko dla dwóch wielkich partji, co cztery lata mamy widowiska przedwyborcze, gdzie najprzeróżniejsze żywioły, nic ze sobą nie mające wspólnego, a nieraz wręcz odmiennymi targanymi interesami społecznymi, łączą się w jedną partję, obierającą jednego kandydata na prezydenta.

Trudno się tedy spodziewać od tego rodzaju zgromadzeń jakiegoś wyraźnego programu. Uchwalają one rzeczy, podobające się wszystkim i nie wywołujące różnicy zdań. Uchwała, zadawalająca wszystkie gusty, staje się uchwałą bez treści. Takie bywają „platformy” konwencyjne, o których Wilson powiedział, że go wcale nie obowiązują, bo „platforma to nie program”.

Konwencje są bardzo starą instytucją amerykańską. Powstały równo przed stu laty, po 60 latach nieudanych prób wyznaczania kandydatów na prezydenta innymi sposobami. Konwencje są nieuznane przez prawo publiczne, ale stały się nieomal czynnikiem konstytucyjnym. W skomplikowanym rytuale politycznym Stanów Zjednoczonych są czynnością najbardziej uroczystą i najbardziej amerykańską. W zasadzie mają być idealną reprezentacją członków partyjnych, rozsianych po całym olbrzymim państwie. Od najmniejszych komórek lokalnych, poprzez okręgowe i stanowe zgromadzenia miały się konwencje przedwyborcze stać wyrazicielkami dążeń i pragnień mas. Stały się jednak wielkimi zbiegowiskami naganiaczy partyjnych i specjalistów od polityki, posłusznych nakazom stałych władz partyj, bardziej posłusznych u republikanów i przejawiających niekiedy samodzielność u demokratów.

Stało się z konwencjami to sa-

mo, co z wyborami prezydenta, które według pomysłu autorów konstytucji Stanów miały być wolne od wszelkich wpływów partyjnych, miały być wyrazem woli ludności, wysyłającej elektorów do specjalnego Zgromadzenia, mającego szukać najlepszego człowieka. Konstytucja liczyła się z tem, że wybór będzie niekiedy niełatwy, że poszukiwania tego „najlepszego” mogą skończyć się na tem, iż żaden nie otrzyma większości. Wtedy obie Izby Kongresu, Senat i Izba Reprezentantów, miałyby obrać jednego z trzech kandydatów, z największą ilością głosów na zebraniu elektorów. Tymczasem to zebranie stało się zupełną fikcją. Partje wyznaczają kandydatów na długo przed wyborami elektorów. Formalnie wybiera się tych panów, ale naprawdę głosuje się jakby bezpośrednio na prezydenta. Elektorzy zatwierdzają kandydatów partyjnych. Mądry, bardzo demokratyczny pomysł konstytucji skorygowany został przez życie, które w Ameryce, jak wiadomo, wyraża się w organizacjach na wielką skalę, w potęgę silnych grup pewnych interesów społecznych i politycznych, w mechanizacji i standaryzacji człowieka i jego czynności.

Pozbawione treści ideowej, nieciekawe, jako zebranie debatujące, konwencje są zato niezmiernie ciekawymi i emocjonującymi widowiskami. Zjeżdża się blisko dwa tysiące delegatów i kilkanaście ty-



NA KONWENCJACH BYWA GWARNO I WESOŁO, KAŻDY STAN PARADUJE
ZE SWOIM SZTANDAREM



KANDYDAT REPUBLIKANÓW: H. HOOVER

sięcy widzów. Rozmaitość typów ludzkich jest ogromna. Każdy stan paraduje ze swoim sztandarem i wielkim transparentem. Miasto, w którym odbywa się konwencja, zapomina o wszystkim innym i całe staje się terenem zabaw, kłótni i entuzjazmu delegatów na zjazd.

Wyjątkowo w tym roku obie konwencje obrały Chicago na miejsce swych obrad. Hotelarze i „bootleggerzy” spodziewali się wielkich zarobków, ale zawiedli się. Delegaci mieli mało gotówki i gryźli swoje „hot dogi”, kiepskie parówki w bułce, i popijali lemoniadą. „Sucha” konwencja republikańska podobno była lepszym interesem dla tajnych szynków, które wyrosły w pobliżu stadionu na

czas konwencyjny, niż „mokra” demokratyczna. Widowskowo demokraci pobili republikanów. Bawiono się weselej. Przewodniczący Izby Reprezentantów, demokratą Garner z Texasu, kandydat na kandydata, paradował ze swoją delegacją stanową w olbrzymim „czterdziestolitrowym” kapeluszu, w białym stroju, w białym samochodzie. Zięć Wilsona — McAdoo zmierzał ku stadionowi, poprzedzany przez wielkiego osła, który szczerzył zęby do publiczności, zapraszając do głosowania na demokratów.

„Doskonały wodewil”, jak nazwano konwencję demokratyczną, uświetniony był występem słynnego Will Rogersa, komika, feljetonisty i aktora filmowego. Dużo ożywienia wniosły na obu konwencjach kobiety, które dziś równie gorąco potępiają prohibicję, jak zwalczały alkohol przed dwunastu laty.

Krzyczano, śpiewano, maszerowano ze sztandarami dokoła sali, uganiano się za balonami, których deszcz spadł na delegatów.

Szanse demokratów, którzy tylko dwa razy od czasu Lincolna mieli własnych prezydentów (Clevelanda i Wilsona), oceniane są dość wysoko. Roosevelt jest kandydatem popularnym, człowiekiem o szerokich poglądach, niezależnym, odważnym. Hoover obciążony jest — słusznie czy niesłusznie —



KANDYDAT DEMOKRATÓW: F. ROOSEVELT

odpowiedzialnością za kryzys gospodarczy.

Ale nie osoby Hoovera i Roosevelta, nie ich programy społeczne, gospodarcze i polityczne będą rozstrzygać. Zdecyduje w wyborach — alkohol. Republikanie w sprawie prohibicji zajęli stanowisko dwuznaczne, pozostawiając ją do decyzji poszczególnych Stanów. Demokraci prosto i wyraźnie oświadczyli się za zniesieniem zakazu alkoholowego. „Suchy” republikanin i „mokry” demokrat stają przeciwko sobie. Wybór Hoovera czy Roosevelta zależeć będzie od tego, kto przeważy: Ameryka sucha czy mokra...

J. S.

Z TWÓRCZOŚCI ART. MAL. AL. JAKIMCZUKA



„W KUCHNI”



„MLYN”



WYLĄDOWANIE PIELGRZYMKI POLSKIEJ W DUBLINIE

Z wyspy świętych i męczenników

(Korespondencja własna).

Głośno dziś w świecie o Erynie, Zielonej Wyspie, o de Valerze, prezydencie Wolnego Państwa Irlandzkiego, o wyzwaniu się tego kraju z pod hegemonji Anglii.

Głośniejsze jeszcze wypowiedział naród irlandzki swoją gorącą wiarę i przywiązanie do Stolicy Apostolskiej, kiedy w ostatnich dniach przyjmował u siebie Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny.

„Wyspa świętych i męczenników, jak zwykli Irlandję nazywać papież w encyklikach i listach, stała się na kilka dni terenem niezwykłych w swoich rozmiarach, nastroju i znaczeniu manifestacji religijnych.

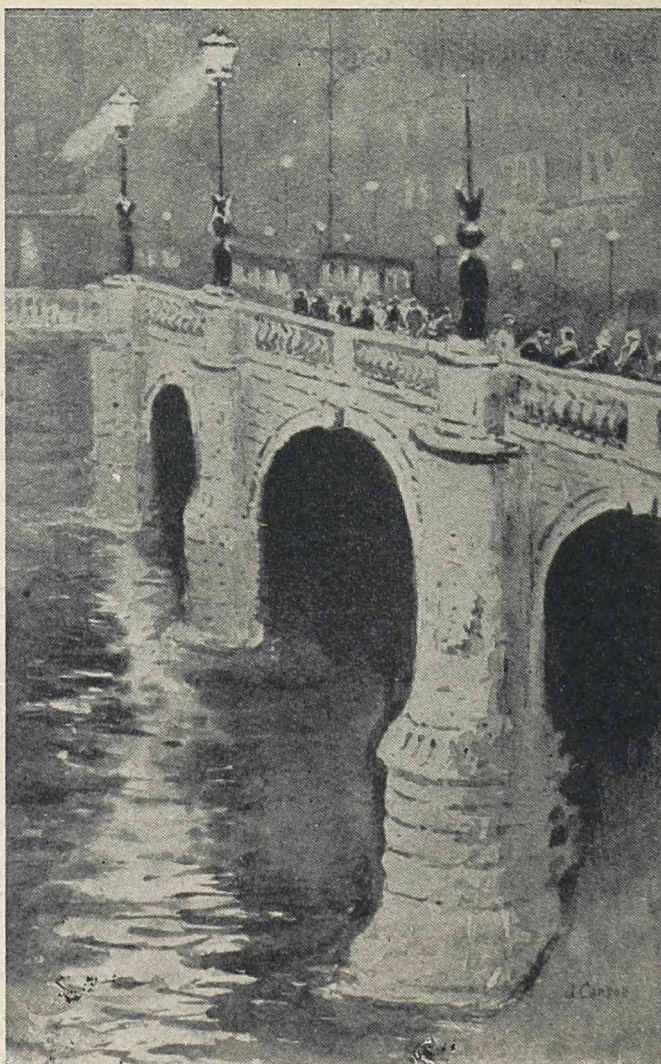
Stolicę Apostolską reprezentował znany nam z nuncjatury warszawskiej kard. Lauri. Witwały go wystrzały armat, szum skrzydlatej armji, nadbrzeżne flotylle, wielkie statki oceaniczne, flagi i sztandary, zieleni i kwiecie i przyspieszone bicie serca setek tysięcy tłumów, wyległych na molo, ze swoim prezydentem i gabinetem ministrów.

Wśród najdostojniejszych gości znaleźli się purpuraci, książęta Kościoła, w liczbie dziesięciu, w tem i prymas Rzeczypospolitej ks. kard. Hlond, setki mitratów, a wśród nich dwaj nasi: ks. biskup H. Przeździecki z Podlasia i ks. K. Okoniewski z Pomorza i tysiące kleru najrozmaitszych obrządków, dające wyraz wspaniałej powszechności Kościoła katolickiego.

Dublin, miasto liczące zaledwie ćwierć miliona mieszkańców, zna-

lazł się w obliczu setek tysięcy gości z całego świata, w tem najwięcej z Anglii i Ameryki. Wszystkich trzeba było umieścić i wyżywić przez tydzień. Radzono sobie. Oto wielkie statki pasażerskie zamieniono na hotele pływające. Urządzono sypialnie w aulach szkolnych, gmachach publicznych, zajęto dla tych celów tysiące mieszkań prywatnych.

I Polski nie brakło. Pielgrzymka



MOST O'CONNELLA, NA KTÓRYM ZAKOŃCZONE ZOSTAŁY UROCZYSTOŚCI

nasza liczyła przeszło 150 osób, prowadzonych przez ks. dyr. Janickiego i Polskie Biuro Podróży „Francopol”. Spotykało nas wszędzie wyróżnianie, szczery entuzjazm tłumów na widok Białego Orła i dźwięku hymnu polskiego.

Uroczystości odbywały się w prokatedrze, uniwersytecie, daleko poza miastem w rozległym Phoenix Parku. Tu wobec wspaniałego ołtarza zbierały się setki tysięcy pielgrzymów i uczestników kongresu. Jedno przedwieczere poświęcono mężczyznom, drugie kobietom, trzecie młodzieży.

Wrażenia nie do opisania. Trzeba je samemu przeżyć. Poza nastrojem, powagą, skupieniem, nad wszystkim górował porządek, posłuch, karność. Potrafi to tylko naród w boju, męczeństwie, harcie życia doświadczony, jakim są Irlandczycy.

Kulminacyjnym punktem niezwykle drobiazgowego, ale prostego ceremonjału kongresu był jego finał. Tłumy dosięgły chyba miliona. Program zawierał pochód z Phoenix Parku do śródmieścia, a więc ośm mil angielskich, do ołtarza, zbudowanego na moście O'Connella. Stały szeregi. Wszystkie narody katolickie pod swoimi sztandarami. Cała Irlandja katolicka, zrzeszona, natchniona posłannictwem zmanifestowania swojej gorącej, dziecięcej wiary i przywiązania do katolicyzmu. Tego jej nie mogła wydrzeć żadna przemoc. Broniła skarbów ducha poprzez konfiskaty, banicje, więzienia i męczeństwa. Za osobą de Valery stały duchy św. Patryka i wielkiego odrodziciela O'Connella, który „ciało oddawał ojczyźnie, serce Watykanowi, a duszę Bogu”.

Na te dni iście godowe było i niebo łaskawe. Irlandja od lat już wielu nie ma pogodnego lata. To też oddawna modlono się po kościołach o pogodę, która podczas kongresu dopisała. Można więc wyobrazić sobie radość całego narodu, tak religijnego, że jego modły zostały wysłuchane. Irlandja pokazała światu, co umie.

Dumą szlachetną napełnione były serca nie tylko Irlandczyków, mieszkających w ojczyźnie, ale i tych, co z dalekiej przybyli emigracji amerykańskiej. Oni wobec niezamowności swoich rodaków w dużej mierze finansowali i sam kongres eucharystyczny w Dublinie, który dzięki takiemu duchowi, pomocy i świetnej organizacji można zaliczyć do najbardziej udanych.

X. W. Kneblewski.

Dublin.

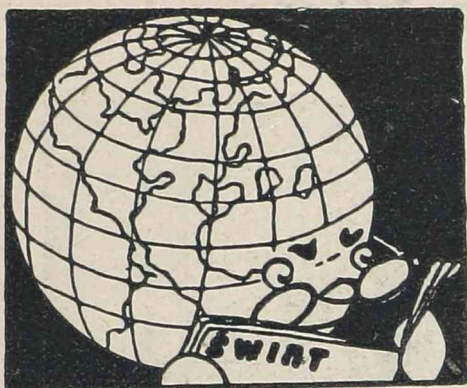
Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny w Dublinie



LEGAT PAPIESKI, KARDYNAŁ LAURI PRZED NABOŻEŃSTWEM UROCZYSTYM W PRO-KATEDRZE DUBLIŃSKIEJ MODLI SIĘ PRZED WIELKIM OLTARZEM W OBECNOŚCI 10 KARDYNAŁÓW, PARUSET BISKUPÓW, TYSIĘCY KSIĘŻY I TŁUMÓW PIELGRZYMÓW



WJAZD LEGATA PAPIESKIEGO, KARDYNAŁA LAURIEGO DO DUBLINA. CAŁE MIASTO WYLEGŁO NA ULICE, WITAJĄC ENTUZJASTYCZNIE PRZEDSTAWICIELI WATYKANU



TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.). Nowy układ stanął w Lozannie między państwami wierzycielskimi a Niemcami. Aby nabrać pojęcia, co Niemcy obecnie zyskały, należy przypomnieć następujące cyfry: na paryskiej konferencji pokojowej żądano od Niemiec 300 miliardów marek odszkodowań; dawały one 100 miliardów; do ustalenia sumy ostatecznie nie doszło; zajął się jej obliczeniem plan Dawes'a, określając należności od Niemiec w przybliżeniu na 120 miliardów; ponieważ czuły się one rachunkiem tym pokrzywdzone, zrewidowano go w Hadze, czego wynikiem był plan Young'a, wykazujący około 70 miliardów reparacji; teraz plan ten zastąpiono układem lozańskim, sprowadzając należność od Niemiec do 3 miliardów marek.

Ofiara ze strony wierzycieli olbrzymia, zysk Berlina wprost nieprawdopodobny! Jakżeż przyjęto powracających z Lozanny mężów stanu w ich ojczyznach?

Paryż radośnie witał Herriota, jako twórcę porozumienia europejskiego. Król, rząd i naród angielski winszowali Mac Donaldowi przywrócenia zaufania i współpracy między narodami, co pozwoli im wyjść z kryzysu. W Niemczech natomiast Hugenberg zwymyślał Papena za podpisanie umowy lozańskiej, Hitler zaś zapowiedział, że te obiecane 3 miljardy nie warte są i trzech marek.

Duch germański znowu zaprezentował się światu: wszystkiego im mało, nic im nie dogadza. Zamiast płacić odszkodowania za zniszczenia wojenne, chcieliby jeszcze sami dostać nagrodę pieniężną, prawo zbrojeń, przekreślenie traktatu wersalskiego i restytucję utraconych terytoriów.

Tak się rozzuchwalili wskutek ciągłych ustępstw i pobłażliwości Europy.

(Tł.). Powracający z Lozanny dziennikarze, jak zawsze, przywieźli z sobą garść nowych anegdot. Oto — opowiadają — w Klubie prasy pewien korespondent amerykański nieco nadużył dobrodziejstw „mokrego reżymu” i, da-

jąc folgę nienawiści do Japończyków, począł wymyślać Bogu-duchu winnemu przedstawicielowi żółtej rasy, spożywającemu kolację. Wszystkie ujemne określenia w angielskim, francuskim i niemieckim językach zostały zużyte. A napastowany z prawdziwie wschodnią flegmą jadł i uśmiechał się.

To jeszcze bardziej wyprowadzało z równowagi podochoconego Yankesa. Wreszcie skoczył i byłby skrzywdził spokojną żółtą twarz, gdyby inni koledzy nie przeszkodzili temu i nie wyprowadzili awanturnika.

Po powrocie do klubu nie mogli jednak powstrzymać się od uszczipliwego powiedzenia napastowanemu:

— Ależ pan jest cierpliwy, że wysłuchał wszystkich tych obelg!

— A czegoż chcecie — odparł ten z dobrotliwym uśmiechem — abym ja, Chińczyk, przerywał wymyślanie na Japończyka?

Władze szwajcarskie otoczyły głównych delegatów na konferencję troskliwą opieką. Nie mogli się ruszyć, żeby za nimi nie znalazł się agent policji tajnej pieszo, na rowerze lub motocyklu. Nawet w przejażdżkach po Lemanie towarzyszyli im w motorówkach. Kanclerz von Papen, widząc, że agent idzie za nim po plaży, — a był upalny dzień — zaproponował mu wspólną kąpiel.

— Kiedy nie mam kostjumu kąpielowego — odparł zażenowany.

— Nic nie szkodzi, ja go panu wynajmę...

I wleźli razem do wody.

Ci aniołowie — stróże dyplomatów — bardzo się przydawali dziennikarzom. Gdy spostrzeżono ich, — a są dość znaczni — wiadomo było, że jakiś mąż stanu konferuje w pobliżu.

Tak wykryto nocne rendez-vous w Morges Herriota z Gibsonem.

Ale zaszedł tam zabawniejszy epizod. Gdy po skończonej rozmowie premier francuski, który, jak wiadomo, jest wciąż prezydentem m. Lyonu, wychodził z hotelu pod

Białym Koniem, otoczyła go grupa ludzi, a jeden z nich odezwał się w te słowa:

— Kochany Kolego! Dowiedziawszy się, żeś zaszczylił odwiedzinami nasze miasto, nie możemy powstrzymać się od serdecznego powitania cię i prośby, abys nie odmówił wypicia z nami szklanki miejscowego wina, które wcale nie jest gorsze od waszego...

Był to burmistrz Morges w otoczeniu ławników i radnych.

P. Herriot przyznał, że istotnie wino okazało się doskonałe.

(Old.). Tego samego dnia w trzech sądach warszawskich zapadły srogie wyroki na zbrodniarzy, osłaniających się płaszcami ideowo-politycznymi.

Sobieraja, który pięć strzałów dał do ś. p. Eugenjusza Gettera, i Schmidta, obecnego przy tem morderstwie — skazano jednakowo na bezterminowe więzienie.

Sobieraj, spodziewający się kary śmierci od sądu doraźnego, ucieszył się i zaczął aż krzyczeć z radości: „Niech żyje Frakcja Rewolucyjna P. P. S.! Precz z kapitalizmem! Niech żyje marszałek Piłsudski!”

Schmidt, oczekujący uniewinnienia, zemdlał z przerażenia, że resztę życia spędzi w zamknięciu. Tak samo stracił przytomność Kujawski, zabójca urzędnika magistrackiego ś. p. Dembińskiego, na wieść o skazaniu go na bezterminowe więzienie, chociaż ekspertyza lekarska zakwestjonowała jego poczytalność.

W procesie Tasiemki i towarzyszy zapadły wyroki od 2 do 6 lat, przytem herszt bandy, sam Tasiemka - Siemiątkowski, radny m. st. Warszawy, otrzymał niższą od innych karę — ze względu na swe dawne zasługi.

W ten sposób rozpoczęła się likwidacja „jaworowych ludzi”.

Może procesy zeszlotygodniowe oczyszczą nareszcie nasze stosunki polityczne z bandyckich naleciałości.

(Wig.). W tych dniach obecny zarząd m. st. Warszawy z prezydentem Z. Słomińskim na czele obchodził 5-ciolecie swych rządów. Mimo utartych narzekania na magistrat, trzeba stwierdzić, że okres ten był wyjątkowo wydatny w pracy. Aby nie być gołosłownym, dość przytoczyć, że za prezydentury p. Słomińskiego wybudowano 806 tys. m.² nowych jezdni ulicz-

PIĘĆ LAT WSPÓLNEJ PRACY MAGISTRATU WARSZAWSKIEGO



Dla upamiętnienia 5-cio letniej pracy dokonano zdjęcia członków magistratu m. st. Warszawy. W środku siedzi prezydent miasta Z. Słomiński, mając obok siebie wiceprezydentów Borzęckiego i Szpotańskiego, a dalej ławników Altera, Barykę, Bychowskiego, Koernerę, Koralewskiego, Wachowskiego i Zielińskiego, dyrektora Jankowskiego, oraz naczelników Herbsta, Kozłowskiego i Zadrowskiego

nych, ułożono 308,000 m.² chodników betonowych, 98 klm. rur wodociągowych, 33 klm. rur kanalizacyjnych, 89 klm. toru tramwajowego; uruchomiono autobusy na dystansie 18 klm., wyasfaltowano 32 kl. ulic o przeciętnej szerokości 8 m., całkowicie opracowano plan regulacyjny Wielkiej Warszawy, założono Ogród Zoologiczny, posiadający już około 600 okazów, wzniesiono nowoczesną cieplarnię na Rakowcu, urządzono 14 ha parków i zasadzono 6 tys. drzew na ulicach, uruchomiono kąpieliska i plaże nad Wisłą; wybudowano 15 wspaniałych gmachów dla szkół powszechnych, dzięki czemu można było powiększyć o 25 tys. ilość uczących się dzieci, nadto postawiono imponujący budynek przy ul. Rozbrat dla gimnazjum miejskiego, rozwinięto dział opieki społecznej nad dziećmi, matkami i bezrobotnymi; zwiększono ilość łóżek w szpitalach warszawskich o 858, a wynajęto poza Warszawą prawie 1000; przejęto Bibliotekę Publiczną przy ul. Koszykowej na etat miejski, wybudowano gmach Muzeum Narodowego w Al. 3-go Maja i urządzono już jedno jego skrzydło, uporządkowano sprawę

teatralną, wyzwalając miasto od milionowych dopłat, nadto prowadzono walkę z bezdomnością, podnosząc ilość izb dla bezdomnych z 885 do 3,000 i dając dach nad głową 15 tys. ludzi, na same nowoprzyłączone przedmieścia wydano 100 milionów zł.

Tego wszystkiego dokonano mimo ciążącego na nas już od 3 lat kryzysu i mimo niezdolności do pracy rozpolitykowanej Rady Miejskiej, która ukończyła swą kadencję i nagwałt potrzebuje odświeżenia.

Lwia część zasługi w tej olbrzymiej pracy przypada p. prezydentowi Słomińskiemu, który mało i krótko mówi, ale robi prędko i dużo.

(Old.). „Miasto Polskie”, organ właścicieli nieruchomości, zamieścił artykuł domagający się uwłaszczenia lokatorów!

Jak przed laty uwłaszczono włościan, dając im grunta pańskie, tak obecnie trzebaby oddać na własność lokatorom mieszkania, zapewniając dotychczasowym właścicielom kamienic choć 4% od

wypuszczonych w tym celu listów zastawnych.

Teraz bowiem bezrobotni lokatorzy nic nie płacą, a mający jeszcze pracę domagają się znacznej zniżki komornego. Tymczasem „kamienicznik” musi za nich „odrabiać pańszczyznę w postaci płacenia podatków, opłat za wodę i kanały, oświetlenia domu i numerów ulicznych, iluminacji podwórz, asekuracji budynków, remontu domów, a nawet prywatnych mieszkań niepłacących lokatorów, utrzymania dozorczy, wycierania kominów, odpowiedzialności cywilnej za nieszczęśliwe wypadki, prowadzenia meldunków, kar policyjnych, kozy za nieczyste utrzymywanie posesji i t. p.

Lepiej więc uwolnić się od ciężarów własności — konkluduje autor artykułu.

Redakcja „Miasta Polskiego”, godząc się z nim w ocenie rozpaczliwego położenia własności miejskiej, zastrzega się przeciwko tchnącym rozpaczą wnioskom. Sprawa więc uwłaszczenia lokatorów nie dojdzie zapewne do skutku. Ale projekt jest ciekawym dokumentem chwili.

Z osobistych wspomnień o Weyssenhoffie

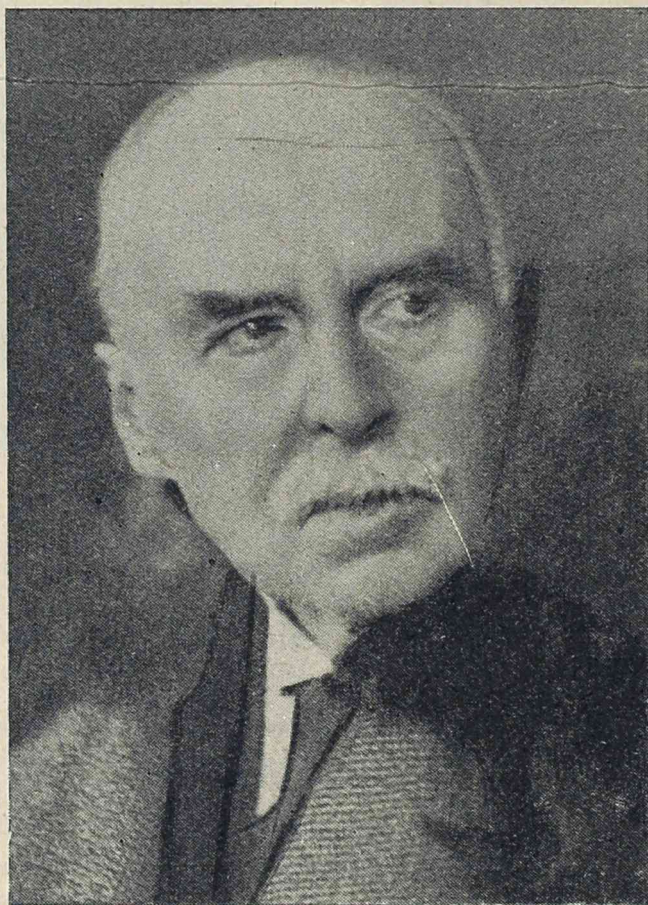
Było to, mniej więcej, przed czterdziestu laty...

Wracałem z polowania pod Lublinem do Warszawy. Do przedziału w wagonie wszedł Weyssenhoff. Znałem go bardzo powierzchownie, spotkaliśmy się parę razy na większych zebraniach towarzyskich. Pierwszy raz znalazłem się z nim sam na sam. Rozmowa potoczyła się żwawo, bo mieliśmy dwie wspólne pasje: literaturę i myśliwstwo.

Weyssenhoff był wówczas przede wszystkim wytwornym klubmem. Wyjątkowo przystojny, słusznej postaci, jednał sobie sympatie wszystkich doskonałymi manierami, dobrym humorem, wykwinnym dowcipem, wysoką kulturą literacką i artystyczną. Ożeniony z p. Blochówną, córką wielkiego potentata finansowego, nie zajmował się gospodarstwem w swoich Samokłeskach, mieszkał w Warszawie. Dionizy Henkiel, ówczesna wyrocznia w sprawach literackich, poznał się pierwszy na jego talencie. On to, wraz z Władysławem Bogusławskim, zachęcił go do objęcia redakcji „Biblioteki Warszawskiej”, on stał się jego najbliższym literackim doradcą.

Pierwsze kroki literackie Weyssenhoffa były nieśmiałe. Tłumaczył przeważnie mniejsze poezje z języków obcych, najwięcej z francuskiego i z niemieckiego. Potem odważył się na nowele. Były one narazie raczej ewenementem towarzyskim, niż literackim. W salonach Warszawy wywoływały duże poruszenie. Baron Weyssenhoff, członek Klubu Myśliwskiego, spokrewniony z arystokracją, zięć potężnego finansisty, plamił się atramentem! Starsi koledzy klubowi kiwali głowami: nie wydawało się im to właściwym. W kołach literackich, poza szczupłym gronem pisarzy, grupujących się koło Henkla, traktowano Weyssenhoffa, jako miłego dyletanta. On sam zresztą nie szukał wtedy zbliżenia do bohemy literackiej i artystycznej. Poprzestawał na tych stosunkach, które wyłaniały się z jego stanowiska redaktorskiego. Poza tem był światowcem, spędzającym wszystkie wolne chwile w najwykwintniejszych salonach i w najekskluzywniejszym klubie Warszawy, — o ile nie wojażował po Europie, co mu się często zdarzało. Prócz dwóch pasji, o których wspominałem na wstępie, trawiła go wówczas i trzecia: lubił hazard i to za-

miłowanie stało się dlań przyczyną wielu zgryzot. W tym szlachcicu polskim z krwi i kości, trochę lekkomyślnym, patryocie nieustępliwym, tkwił wielki temperament, nieposkromiony, nieoponowany pęd do korzystania z wszystkich radości, jakie uprzywilejowanym jednostkom dawało w tych czasach życie. Któż zaś był odeń bardziej przez Opatrzność uposażony? Posiadał młodość, urodę, zdrowie, talent, pochodził z rodziny wielkopańskiej, rozpo-



Ś. P. JÓZEF WEYSSENHOFF

rzędał bardzo znacznymi środkami...

Ulubieniec bogów!

Mieszkałem w Paryżu, gdy pojawił się w druku „Podfilipski”. Pamiętam, jakie wrażenie wywarła ta książka.

Klub Myśliwski uczuł się dotkniętym. Podejrzewano, że, kształtując swego bohatera, Weyssenhoff pewną dozę rysów charakterystycznych zaczerpnął z ś. p. Konstantego Skarżyńskiego, bardzo znanego wówczas klubowca i salonowca, który później ożenił się z piękną śpiewaczką, Heleną Hermanówną. W klubie i salonach satyra Weyssenhoffa wydała się ostrą i niesprawiedliwą. W kołach inteligencji miejskiej — przeciwnie. Tam uważano, że Weyssenhoff okazywał dla sfery klubowo-arystokratyzującej nadmierną pobłażliwość. Krążyła nawet złośliwa anegdota, jakoby Weyssenhoff w „Podfilipskim” chciał pierwotnie

widzieć wzór Polaka - europejczyka. Lecz gdy dał rękopis do przeczytania Henklowi, ten zaraz przy pierwszych rozdziałach jął zwierzać się przyjaciółom:

— Weyssenhoff napisał znakomitą satyrę na nasze najwyższe sfery towarzyskie!

On to jakoby miał doradzić Weyssenhoffowi, by wzmocnił ostrze satyry, by uwydatnił i podkreślił ironiczny charakter utworu. Nie wierzyłem nigdy tym plotkom.

Powodzenie „Podfilipskiego” było fenomenalne. Wszyscy godzili się, że powieść była dziełem rasowego, świetnego talentu, że literaturze polskiej przybył pisarz znakomity, władający słowem po mistrzowsku.

Kiedy wróciłem do kraju i osiedliłem się na stałe w Warszawie (u schyłku 1905 r.), Weyssenhoff już zerwał był niemal zupełnie z dawnym swoim otoczeniem. Utrzymywał stosunki tylko z najbliższą rodziną, z paroma wiernymi przyjaciółmi z czasów złotej młodości. „Pan baron” wszedł w sfery literackie i artystyczne. Wtedy to nawiązaliśmy serdeczne węzły przyjaźni, która przetrwała długie lata. Wtedy „Świat” drukował parę jego wybornych powieści.

Lecz mimo zmienionych warunków życia (literatura stała się jedynym źródłem jego dochodów, Samokłeski uległy sprzedaży), mimo dotkliwych kłopotów materialnych, jakie zatruiły mu ostatnie lata, — Weyssenhoff pozostał arystokratycznym Medyceuszem, lubującym się w rzeczach Piękną, mających słabość do ludzi Sztuki, a jednak należącym do innego świata, lubo z tym innym, swoim światem stykał się już mało i dorywczo. Była w nim dwoistość psychiczna: literat, który porał się żmudnie ze swą ciężką dolą, i arystokrata, nie znający wartości pieniędzy, — nawet gdy były one pło- nem wyteżonej pracy. Weyssenhoff do ostatnich chwil miał wielkopański gest, który często bywał błędem, który przecież miał zawsze osobliwy powab, — odbiegał daleko od szerzącego się nagminnie chamstwa.

Zgon Weyssenhoffa okrywa żałobą literaturę polską. Z wielkiej plejady starszych prozaików pozostaje na placu już tylko Wacław Sieroszewski. Światu literackiemu



OJCIEC ŚWIĘTY PIUS XI ZE SWEGO GABINETU UDZIELA PRZEZ RADJO WATYKAŃSKIE BŁOGOSŁAWIEŃSTWA UCZESTNIKOM KONGRESU EUCHARYSTYCZNEGO W DUBLINIE



PODCZAS WALK MIĘDZY REPUBLIKANAMI A HITLEROWCAMI WZNOSZONO W DZIELNICY BERLIŃSKIEJ MOABICIE BARYKADY Z PŁYT BETONOWYCH, WYRWANYCH Z CHODNIKA

ubywa człowiek wysokiej, zachodnioeuropejskiej kultury, umysłowej i towarzyskiej. Jakże miło było spotkać się z tym arystokratą i rozmawiać o literaturze, o sztuce! Równie miło, jak z nieboszczykiem jego szwagrem, Józefem Kościelskim. Tylko, że Weyssenhoff miał wspaniały talent twórczy, którego Kościelski, przy wyjątkowej inteligencji, kulturze i wiedzy, nie posiadał.

W dyskusji Weyssenhoff zapalał się, zacierziewiał, nie gardził „soczystem” słowem. Nie znosił blagi, sztucznego snobizmu, spekulacji. Czysta to była dusza artystyczna, Medycejska, dumna, wielkopańska. „Podfilipski”, „Soból i Panna” i „Puszcza” zapewnią Weyssenhoffowi dostojne miejsce w Panteonie piśmiennictwa polskiego.

Stefan Krzywoszewski.

CO CZYTAĆ?

„NIEZNANY KRAJ”, „SKAZY NA SZCZĘŚCIU”, „PAMIĘTNIK MARJI”.

Tegoroczna laureatka nagrody śląskiej, p. Zofia Kossak-Szczucka, autorka słynnej „Pozogi”, w dorobku swoim posiada dwa tomy osnute na tle dziejów tej piastowskiej dzielnicy: „Legnickie Pole”, ukazujące początki kolonizacji niemieckiej, oraz „Wielcy i Mali”, cykl opowieści kreślących niezręczną politykę Zygmunta III, jak również dających tragedję wymierających Piastów śląskich. Dorobek ten uzupełnia obecnie świeżo wydana książka p. t. „Nieznany Kraj”.

Na tom złożyły się utwory różnej treści i wartości literackiej. Większość prac należy właściwie do publicystyki. W przyszłości utwory te stanowiąc będą materiał historyczny do poznania stosunku społeczeństwa naszego do walk o Górny Śląsk. Zofia Kossak wyłowiła z

przeszłości tej ziemi wszystkie światła i światelka, wiodące ten kraj z powrotem „na ojczyzny łono”. Interesująca jest wiadomość o biskupie Gogedainie, Niemcu, który z Miarki uczynił żarliwego bojownika polskości tej ziemi. Ksiądz Gogedain był wyjątkiem! Rozumiał on piękno mowy naszej i wskazał Miarce źródła do poznania literatury, historii i nauki polskiej.

Powrót ziemi śląskiej do Polski jest cudem dziejowym, choć otrzymaliśmy za ledwie część piastowskiego dziedzictwa. Żadna z dzielnic naszej ojczyzny nie znajdowała się tak długo poza granicami Państwa Polskiego. Śląsk przechował jednak żywe poczucie mowy i łączności plemiennej. Wynaradawiany przez Niemców wszystkimi dostępnymi a nawet gwałtownymi sposobami, trwał wierne przy mowie i wierze. W wieku 19 poczucie i uświadomienie polskie rozwinęło się dzięki ludziom prostym, jak Stelmach, Lompa, Miarka. Później przyszli inteligenci Napieralski, Korfanty, Grażyński, którzy dzieło doprowadzili ewolucyjnie do zwycięskiego końca. Na Śląsku Cieszyńskim ks. Londzin w tym czasie stał się patronem ruchu wyzwolenczego wraz z działaczami socjalistycznymi, jak Kunicki, Kłuszyńska.

Zofia Kossak w „Nieznanym Kraju” stara się wyznaczyć odpowiednie, honorowe miejsce każdemu z tych promotorów polskości, uświadamiając w ten sposób szerokie koła społeczne, jak ciernistymi drogami przedzierał się lud śląski do ojczyzny. Artystycznie na uwagę zasługują „Testament Księżycy”, „Przeklęte srebro”, „Uparte mniszki”, „Nad Odrą w r. 1015”. Nawet językowo opowiadania te są lepiej opracowane.

Znana i ceniona przez panie feljetonistka „Well” pisząca o modach, (Jadwiga Kiewnarska) niekiedy kreśli „Portrety historyczne”, daje nowele.



Obecnie ukazał się tom utworów tego typu jej pióra p. t. „Skazy na szczęściu”. W książce tej znajdujemy następujące opowiadania: Mowglee, Historia bez tytułu, W stolicy, Pan Ksawery, Futro, Elfy, List, Bolszewiczka oraz Wizja niedalekiej przyszłości. Wszystkie te utwory wzięły swój początek z obserwacji życiowych. Bardzo sympatyczny jest „Mowglee”, wyrostek dziewiętnastoletni, zakochany w pani Marcie. Obrazek „W stolicy” przypomina nam niedawne lata wojny z bolszewikami, uwypuklając nieporozumienia między tymi, co walczyli, a tymi, co nasłuchiwali tylko o bojach, wygodnie żyjąc sobie w stolicy. Nowela p. t. „Historia bez tytułu” jest ryzykowna w treści, ale to nie znaczy, iż zawiera fantastyczne fakty. Dotyczy zresztą dosyć fantastycznej osobki. Nie mamy więc powodu kwestjonować, iż było inaczej, choć zazwyczaj panienki bywają więcej opanowane. Zdrowy rozsądek trzyma w karchach temperamenty. Rezultat jest przecież oplakany nie dla rzeźbiarza. Jego pozycja jest raczej zazdrości godna!

Opowiadania p. Jadwigi Kiewnarskiej, przypuszczać należy, iż podobają się czytelnikom „Well”, a może je nawet przełożą nad feljetony o modzie. Będzie to nawet swoista ofiarność. Któż kobieta zapomni o szyku dla wzruszeń, płynących z książki.

„Pamiętnik Marji” p. Joanny Rudzkiej przynosi nam smutny obraz życia pewnej niezrównoważonej, powojennej kobiety. Finał jest tragiczny, bo czegoż można oczekiwać od człowieka o nadwątlonych funkcjach sądenia? Wysnuwa wnioski z nieistniejących przyczyn, męczy się majakami, ulega sugestiom zbyt łatwo. W każdym razie należy współczuć tej nieszczęśliwej Marji. Znalazła ona w weronału wyjście dla swoich zgryzot, choć właściwie nie były to zgryzoty. Nie umie ona zatrzymać przy sobie kochanego mężczyzny, nawet męża. Przesuwa się przez jej życie kilku panów. Nie są to ludzie bez wartości. Błędny jest stosunek Marji do nich: oczekiwania jej zawodzą nie z ich winy.

„Pamiętnik Marji” jako lektura przynosi wiele smutnych refleksji o zbłąkanych psychikach powojennego pokolenia kobiet.

E. C.

Człowiek skazany na dożywotnią wolność

Trzykrotny stuk młotka. Głucha cisza zalega w olbrzymiej sali sądowej. Sześć tysięcy par oczu wpiło się w kamienną twarz sędziego.

— Wobec braku jakichkolwiek okoliczności łagodzących, podsądny numer 25100 zostaje skazany na pozbawienie wszystkich praw więźnia, będącego na utrzymaniu i pod opieką Państwa, na wydalenie z murów Ping-Pong i na dożywotni pobyt na wolności.

Oczy wszystkich obecnych ze zgrozą i z politowaniem skierowały się ku ławie podsądnych, gdzie Nr. 25100, młody, rudawy blondyn, siedział skulony z otwartymi ustami i zdawał się jeszcze nie rozumieć, co go czeka. Aż wreszcie zrozumiał. Zerwał się i waląc pięściami w balustradę, krzyknął przeraźliwym głosem:

— To nieprawda! Nic mi nie powiedziano! Protestuję!

Przewodniczący skinął i czterech tęgich żandarmów ujęło skazańca i rzucającego się i klnącego wyprowadziło z sali.

— Wyrok będzie wykonany natychmiast!—rozległo się sakramentalne zdanie.

Liczny tłum ciekawych i współczujących eskortował skazańca aż do bramy. Rozwarły się ciężkie wierzeje.

— Nie chcę! Nie chcę! Puśćcie mnie! — wył skazaniec ochryplym głosem. Oczy nabiegły mu krwią, złane potem włosy przylgnęły do czoła.

Szarpał się i miotał rozpaczliwie, ale czterej żandarmi dowlekli go do wrót i wypchnęli: koziołkując po zboczach, nieszczęsny skazaniec stoczył się wdół, wyrzwał łbem o drzewo i usiadł na trawie, oszołomiony.

Wrota więzienne zamknęły się za nim z ponurym hukiem. Był wolny.

Wolny aż do śmierci!

*

Pierwszy dzień spędził wygnaniec stosunkowo znośnie, dzięki kromce chleba i garści tytoniu, skrzętnie przechowywanych w kieszeni więziennego uniformu.

Szedł w kierunku jeziora, którego siną tafelę widać było w pogodne dni z okien ósmego piętra więzienia Ping-Pong. Dobrął do wybrzeża o zmierzchu i napił się wody. Chwilę siedział na trawie, medytując nad swoim smutnym losem, potem położył się i — zasnął.

Wyrwało go ze snu dokuczliwe zimno. Był skostniały i napół przytomny. Całe życie spędziwszy w betonowych ścianach więzienia, teraz dopiero odczuł grozę położenia.

Był sam, wśród wrogich ciemności, z których tchnęło chłodem dalekiej i niepojętej pustki.

Obejrzał się: nad nim szumiały drzewa; ciężkie zwały chmur zaległy niebo; z ponad jeziora dolatywał nito skowyt, nito śmiech... Zadrżał i zerwał się na równe nogi. Targnęła nim tęsknota za

rajem utraconym: przypomniał sobie wygnaniec swój tapczan w ciepłym kącie celi, skąd widać było przez kratę mdłe światło żarówki w korytarzu. Przypomniał sobie beztroski byt, ujęty w karby dobroczynnego rygoru.

Nie wiedział dotychczas, co to samotność, nie znał ciężaru wolności. We dnie ocierał się ustawicznie o tysiące podobnych sobie. Gdy budził się w nocy — słyszał chór gromadnego chrapania i powolne kroki dozorców w korytarzu. I to najważniejsze: nie wiedział, co głód, co chłód, co strach. Był szczęśliwy. Ach, jakże był szczęśliwy! To było cudowne życie. A teraz?

Zawył z rozpacz i zaczął biec naoslep, potykając się w ciemnościach o niewidzialne pnie, aż wreszcie stoczył się w jakiś głęboki wykrot i boleśnie uderzył się w kolano. Zaklął głośno — i zmartwiał. Coś poruszyło się w pobliżu. Wyczuł czyjś oddech przyczajony. Zerwał się do ucieczki — i osłupiał. Ktoś, tuż obok, wymówił chrapliwie:

— Nie bój się! Nie zrobię ci nic złego.

— Kto ty? — wyjąkał skazaniec.

— Człowiek. Stary człowiek.

— A co ty tu robisz?

— Co robię? Mieszkam.

W chwilę potem wygnany więzień z Ping-Pong siedział w kuczki przed ogniskiem, na którym skwierczała smakowicie patelnia z tłustym kawałkiem ryby, i, mrużąc oczy od dymu, przyglądał się ciekawie nieznanemu.

*

Był to wysoki i chudy starzec o siwej brodzie i brązowej twarzy. Miał na sobie wyłysiały kożuch, z pod którego prześwidłała koszula, a raczej worek z napół zatartymi literami: Joe Smith and Co. Boston. U. S. A. Na nogach miał łapcie z owczej skóry, przytwierdzone łykiem. Kudłate i zmierzwiłone włosy spadały mu na ramiona. Starzec żuł coś w bezzębnych szczękach i prawil monotennie:

— Dawniej! Dawniej było co innego. Ludzie żyli na wolności i bali się więzienia. Każdy miał jakieś zajęcie i mieszkał, gdzie chciał. Nie wiodło mu się w jednym mieście, to jechał do innego.

— Jakto, jechał? Na koniu?

— Jeździli końmi, koleją, samochodem, a komu było pilno — to i samolotem. Były takie wielkie maszyny, co fruwały w powietrzu, jak ptaki. Teraz o nich zapomniano. Ja sam czasami nie wiem, czy to nie był sen. Tu, brzegiem jeziora, szła szosa; jeździli wtedy ludzie samochodami do kąpielni, do plaży (tak to się nazywało). Niekiedy, latem, zjeżdżało się tyle tych samochodów, że nie miały gdzie stać. Grała muzyka, ludzie tańczyli, całowali się, było wesoło...

Stary umilkł, zwiesił siwą głowę na piersi i jakby zadrzemał. Ale po chwili podjął:

— A potem wybuchły wojny i różne tam rewolucje. Część ludzi wytruli gazami, część powymierała. Miasta poszły z dymem. Nie było pracy, nie było żywności, nie było nic. Jedni zabijali drugich, żeby ich obrabować. A kradli wszyscy. Nawet ci, co nigdy nie byli złodziejami. No, bo co mieli robić? Nie było ani ferm, ani fabryk. Nie było policji. Wszystko diabli wzięli... Szczęśliwy, kto się dostał do więzienia. Bo przedtem to ludzie bali się więzienia, jak ognia. Często uciekali z niego.

— Jakto? uciekali z więzienia?—zdumiał się wygnaniec. — Po co?

Starzec wzruszył ramionami:

— Był czas, że lepiej było na wolności, niż w więzieniu. Można było i zajęcie znaleźć i mieszkać wygodnie i kupić, co tylko człowiek zapragnął. A jak wszedłeś, bracie, do restauracji, to ci kelner podawał menu. Taką kartę, z której mogłeś wybierać, na co miałeś apetyt.

Rozmarzył się stary i nawet językiem mlasnął.

— A i popić można było niezgorzej. Piwo, wino, wódka. A chciałeś zabawić się, to miałeś do wyboru kino, music-hall, teatr, luna-park albo cyrk.

— U nas w Ping-Pong — zauważył wygnaniec — także jest kino i teatr.

— A właśnie! Kiedy na wolności działo się ludziom uczciwym coraz gorzej, to przestępcom w więzieniach było coraz lepiej: papierosy, kino, radio, mecze sportowe, urlopy zdrowotne, wizyty matrymonjalne, słowem: raj. A na wolności człowiek zdychał z głodu i marzył na mrozie. Póki był uczciwy, to nikt się nim nie zajął; dopiero, jak co przeszkrobał, to mu dawali wikt i mieszkanie. Więc do siedzenia było coraz więcej chętnych. Kto odbył karę, to nie chciał wyjść z więzienia. Bo i po co? No, i zaczęli ludzie pchać się do więzień, jeden przez drugiego. W Ping-Pong było wtedy miejsca na 3 tysiące. A przed bramą stał codzień „ogonek” na dwa kilometry. Ludzie płacili, żeby dostać się za kraty. Kto nie mógł płacić, to wynajmował się do pracy. I tak zaczęli to więzienie powiększać i powiększać, aż nikt nie pozostał na wolności. Kto żył, w całej okolicy, to poszedł do tego więzienia.

— A ty?

Stary kiwnął ręką.

— Ja wolałem zostać. Widzisz, jak byłem chłopcem — lat temu blisko 80 — to czytałem o takim, co mieszkał na bezludnej wyspie. Robinzon się nazywał. Zawsze marzyłem, żeby zamieszkać, jak on, na bezludnej wyspie. No, i spełniło się moje marzenie. Cały świat jest jak bezludna wyspa. Teraz ty będziesz moim Piętaszkiem.

— Czym?

— Piętaszkiem.

Wygnaniec chciał coś powiedzieć, ale zmogło go znużenie. Zasnął.

L. Brun.

Przed półwieczem

Z powodu 50-ciolecia założenia „Kraju” w Petersburgu

Żadne pismo polskie nie było tak namiętnie atakowane, jak „Kraj” petersburski i żaden działacz polityczny tak bezwzględnie zwalczany, jak jego redaktor Erazm Piltz. Nie było zarzutu ani uwłaczającego podejrzenia, któremiby nie obarczano polskiej placówki publicystycznej nad Newą. Kampanja toczyła się z górą lat 25 i obejmowała wszystkie trzy zabory, a nawet emigrację zagraniczną. Zdawało się, że ten publicysta i jego organ straceni są w opinii współczesnych i przejdą z wyrokiem potępieńczym do historii.

Ś. p. Erazm Piltz dożył jeszcze szczęśliwej chwili, że wszystkie przez tyle lat skierowane przeciw niemu rekryminacje w dniach zwrotnych dla losów Polski opadły same przez się i rozwiały się wniwecz. W niepodległej Rzeczypospolitej został posłem pełnomocnym, podsekretarzem stanu i faktycznym przez jakiś czas kierownikiem i inspiratorem polskiej polityki zagranicznej, wydana zaś przez niego czasu wojny t. zw. „Mała Encyklopedia” lozańska — według raleji Paderewskiego — stała się głównym źródłem informacyjnym przy sporządzaniu memoriału, z którego zrodził się punkt 13 warunków pokojowych Wilsona — punkt o niepodległej Polsce z dostępem do morza. Piękniejszego zadosyćuczynienia i większego zaszczytu nikt wymagać nie może.

Ale nadszedł też czas zrewidowania rozpowszechnianych poglądów o roli i znaczeniu „Kraju”, jako pisma polskiego w Petersburgu. Właśnie w miesiącu bieżącym przypada pięćdziesięciolecie narodzin tego tygodnika. Ojcem jego był pozytywizm warszawski, który brał „rozbrat stanowczy z tradycją porywów zbrojnych”, a matką — potrzeba dostarczenia drukowanego słowa Polakom, rozproszonym po obszarach Rosji, i odciętych od wpływów Warszawy kresom wschodnim.

W czasach tych bowiem przodująca narodowi warstwa szlachecka, wyzuta z ziemi wskutek wypadków politycznych lub przemian gospodarczych, spowodowanych uwłaszczeniem włościan, mając zamknięty dostęp do urzędów, masowo skierowała się ku zawodom wolnym, zaspakajając nietylko zapo-

trzebowanie rozwijającego się przemysłu krajowego, lecz zdobywając też dla siebie warsztaty pracy technicznej i handlowej na bezkresnych obszarach imperjum rosyjskiego.

Jednocześnie władze państwa w całym „Kraju Zachodnim” — od Wilna po Kijów — nie pozwalały na powstanie pisma polskiego, a prenumeratę gazet warszawskich różnemi sposobami utrudniały. Nie mogły one, zresztą, ze względów cenzuralnych zajmować się sprawami Litwy i Rusi.

W tych warunkach szczęśliwym pomysłem było założenie w Petersburgu tygodnika polskiego, mogącego łatwo rozchodzić się z centrum stołecznego po całym państwie, nie wzbudzając podejrzeń o „agitację polską” i odśrodkową.

Organ taki powstał w lipcu 1882 roku pod redakcją Erazma Piltza i pod auspicjami prof. Włodzimierza Spasowicza. Musiał on odpowiadać ideologią i treścią nastroszom i potrzebom swych odbiorców, pracujących w Rosji i dla Rosji, związanych z nią osobistemi interesami, olśnionych jej wielkością, bogactwem i potęgą, ale pragnących zachować odrębność duszy polskiej, czystość polskiej mowy i wyższość polskiej kultury.

„Rozłożyliśmy się obozem w głównym ognisku życia rosyjskiego — pisał „Kraj” w pierwszym numerze z dn. 4 lipca 1882 r. — powinniśmy przeto zdać sobie sprawę z tego, jaki ma być nasz stosunek do tego życia. Odpowiadamy, że będziemy zapatrywali się na nie bezstronnie i przedmiotowo, że wysłuchamy spokojnie każdego szczerzego o nas zdania, dobrego czy złego, że będziemy się starali prostować błędy i rozpraszać przesady, będziemy dążyli do zawiązania i utrwalenia wzajemnej wymiany poglądów ze wszystkimi szczerymi organami prasy rosyjskiej. Z drugiej zaś strony będziemy umieszczali możliwie wyczerpujące wiadomości o rosyjskiej prasie i literaturze, żeby dać czytelnikom „Kraju” możność rozpatrzenia się wśród objawów politycznego, społecznego i umysłowego życia Rosji, z którą zapoznanie się jest naszym obowiązkiem”.

W tem dążeniu do poznania państwa i narodu rosyjskiego żywoły tradycyjnie im wrogie do-

patrywały się odstępstwa narodowego, omal nie zamiarów rusyfikacyjnych. Niesłuszny był to pogląd, przeczuleniem patryotycznym wywołany. Zwykła osobista walka o byt wymagała jaknajlepszej znajomości Rosji. Ale były i cele głębsze: „Może kiedyś na szali przyszłych wypadków — trafnie przewidywał p. Piltz w 1890 roku — zaważy, że myśmy starali się poznać Rosję gruntownie, że nauczyliśmy się jej języka, a ona znalazła nas powierzchownie i źle”. I stąd wyciągał wniosek, który zaszczyt przynosi zarówno światłemu politykowi, jak i dobremu dziennikarzowi: „Należy dawać nietylko sprawozdania z życia rosyjskiego pod względem politycznym, społecznym, ekonomicznym i umysłowym, ale trzeba je dawać z całą bezstronnością; chodzi bowiem nie o przyjemność czytelnika i zadowalanie uczucia t. zw. Schadenfreude, ale o korzyść społeczeństwa, które powinno poznać Rosję prawdziwą, a nie tę, którą chcielibyśmy widzieć oczyma naszych uczuć i uprzedzeń”.

Tak pojmując obowiązki prasy, E. Piltz kładł w swem piśmie — a było to przed 50 laty — główny nacisk na informacje, na gruntowne zbadanie każdej sprawy, a potem dopiero na jej wszechstronne oświecenie, nie cofając się od zamieszczania sprzecznych nawet, byle poważnych i z dobrej wiary płynących głosów. Różnił się tem od współczesnych tygodników warszawskich, dbających przede wszystkim o zajęcie „zasadniczego” stanowiska i jego obronę, chociażby wbrew faktom i logice rzeczy. To też gdy one miały „kapliczkowy” charakter i przyczyniły się do rozbicia inteligencji, na nich wychowanej, na „partyjki kanapowe”, „Kraj” kształcił swoich czytelników, uczył ich politycznego myślenia, niekoniecznie narzucając poglądy, które wyznawał. Dlatego wśród współpracowników i czytelników jego mogli znajdować się postępowcy i zachowawcy, narodowcy i liberali, nawet socjaliści.

Zarzucano powszechnie „Krajo- wi” i jego redaktorowi odstępstwo od ideału niepodległościowego, szerzenie programu rezygnacji i ugody. Istotnie „ugodowcem” był — w znaczeniu człowieka, liczącego się z warunkami realnemi, posybi-listy, rozumiejącego, że każda polityka polega na kompromisie i wyzyskaniu możliwości chwili. Była to kwestja metody, a nie wyrzekanie się ideału. „Byłoby rzeczą jałową i najzupełniej nierealną —

wykładał w 1890 r. gronu osób, które chciał zjednać dla pisma — określać formy politycznego i narodowego bytu, do których dziś dążyć należy. Formy te są ruchome i elastyczne i zależą od siły wewnętrznej, od nas zależnej, i warunków zewnętrznych od nas niezależnych. Pierwszą trzeba stworzyć, na drugie umieć czekać i skorzystać”.

Jest to realizm polityczny,—ale gdzież zaprzaństwo czy zdrada?

A jednak tego rodzaju pocisków nie szczędzono „Krajowi” i jego twórcy. Zwłaszcza, gdy przeciwnikom politycznym udało się zdobyć i ogłosić drukiem memoriał, opracowany w 1892 roku dla rosyjskich sfer społecznych i rządowych o dziesięcioletniej działalności „Kraju”. Memoriał ten wydano w Krakowie pod złośliwym tytułem: „Zasługi Erazma Piltza, redaktora petersburskiego „Kraju”, wobec Rosji, jej rządu i dynastji”. Wydawcy utrzymują, że memoriał ten ukazał się „w chwili bardzo ciężkiej dla „Kraju”, kiedy tygodnik petersburski stracił w krótkim czasie znaczną liczbę prenumeratorów”. Może więc chodziło „o uzyskanie wysokiej protekcji lub wysokiej subwencji? Na pytania te nie chcemy i nie możemy dać odpowiedzi kategorycznej” — insynuują wydawcy.

Teraz tajemniczy cel memoriału można wyjaśnić na podstawie autentycznych materiałów. Chodziło o sparaliżowanie akcji gen Hurki, trzykrotnie podejmowanej przeciwko „Krajowi”: 1) aby odjąć mu debity w Królestwie, 2) aby przenieść cenzurowanie „Kraju” do Warszawy, 3) aby — wreszcie poddać go kontroli jednego z cenzorów warszawskich, delegowanych przez Hurkę do Petersburga. Memoriał pomógł do uniknięcia tych ewentualności.

Podjeżenia o podjęcie w tym czasie (rok 1892) starań o subwencję u rządu rosyjskiego upadają już z tego powodu, że od 1 stycznia 1891 roku „Kraj” przestał być własnością prywatną p. E. Piltza, przedsiębiorstwem deficytowem, obdłużonem na 50 tys. rb. w ciągu 9 lat istnienia, a przeszedł do spółki udziałowej, w której skład wchodził pp.: Jan Bloch, Władysław hr. Branicki, Edward Herbst z Tow. Zakł. K. Scheiblera w Łodzi, Leonard Jankowski, Józef hr. Potocki i Włodzimierz Spasowicz. Spółka nie tylko spłaciła długi p. Piltza, ale zapewniła pismu kapitał zapasowy i uczyniła je aktywnem.

Przeglądając dzisiaj inkryminowany memoriał, ze zdziwieniem zastanawiamy się, dlaczego był on uważany za dokument wysoce kompromitujący publicystę i polityka. Tylko atmosfera niewoli i ucisku, pacząca normalny pogląd na zjawiska polityczne, mogła spowodować snucie na jego podstawie podejrzeń i oskarżeń. Z memoriału jasno wynika frankofilizm i antyniemieckość redakcji „Kraju”, szerzenie myśli o potrzebie solidarności słowiańskiej wobec „Drang nach Osten”, potępienie nieodpowiedzialnego „politykierstwa” emigracji i uczące się młodzieży.—Czyż z czasem nie stało się to wszystko rdzeniem programowym obozu, który z oburzeniem ogłosił zdróżności „memoriału”?

Były w nim wprawdzie i rzeczy temu obozowi niemiłe: tolerancja wobec innych narodowości i wyznań, a szczególnie obrona praw mniejszościowych Rusinów galicyjskich, — ale w tem znów „Kraj” łączył się z postępową i socjalistyczną opinią polską. Pozostawała więc jedynie zasada lojalności wobec państwa zaborczego i jego dynastji, oraz bezwzględne zwalczanie metod spiskowych i powstańczych, czasem rażące ostrością używanych wyrażen — trudno jednak nie widzieć w tem absolutnej analogji z akcją pokrewnych żywiołów w innych dzielnicach — „Stańczyków” kra-

kowskich czy Józefa Kościelskiego w Wielkopolsce.

Można się było przed laty spierać, która metoda pracy narodowej jest lepsza: organiczna czy agitacyjna, wzmacnianie sił materialnych i psychicznych narodu bez narażania go na hazardowne przedsięwzięcia, czy też nieprzejednane trwanie przy ideałach najwyższych i odpychanie drobnych zdobyczy dnia, tamujących bojowość. Dzisiaj wiemy, że obie akcje są słuszne, pożyteczne i uprawnione — w granicach poczucia rozsądku i sumienia.

„Kraj” granic tych przestrzegał. W myśl poglądów swych na dobro i szczęście narodu z konsekwencją, odwagą i talentem służył sprawie polskiej, ratując świadomość narodową u rozproszonych po obczyźnie rodaków, rozniecając ją w tych, którzy wskutek niesprzyjających warunków już ją utracili, tworząc szkołę myślenia politycznego w okropnych czasach martwoty i beznadziei, głosząc hasło, że „nie ma położenia tak rozpaczliwego, w któremby ręce opuścić należało”.

Jeśli dodamy do tego świetność i wszechstronność materiału redakcyjnego, przejrzysty jego układ, nieskazitelność języka, co dla wychodźców miało specjalne znaczenie,—możemy śmiało stwierdzić w dzień jubileuszu, że „Kraj” ma własną kartę w dziejach prasy polskiej.

W. Giełżyński.

„Kraj” przez duże i przez małe „K”

(Ze wspomnień osobistych)

Bez względu na to, jakkolwiek miarę zechcianoby stosować do oceny znaczenia i wpływu „Kraju” petersburskiego na kształtowanie się polskiej myśli politycznej, nie można zapoznawać drugiego oblicza działalności ś. p. Erazma Piltza, jego działalności społecznej i kulturalnej.

Nie było sprawy natury ogólniejszej zapoczątkowanej w kraju, której echo nie odbiło się natychmiast w redakcji „Kraju”, nie wywołało dyskusji, nie spowodowało nawiązania kontaktu, którego wynikiem była najczęściej akcja pomocnicza, rozwijana na terenie stolicy rosyjskiej, skupiającej wszystkie nici centralistycznego zarządu imperjum.

Widomym organem społecznej roboty „Kraju” było Biuro Informacyjne przy redakcji, mające na celu utworzenie łączności pomiędzy krajem a „Krajem” w zakresie spraw konkretnych, obsługę pod względem informacyjnym, udzielanie porad fachowych. Formalne kierownictwo Biura spoczywało w rękach niżej podpisanego, ale materiału do pracy dostar-

czał zawsze osobiście redaktor Piltz, posiadający wyjątkowy dar organizowania w sposób najdoskonalszy służby wywiadowczej i informacyjnej. Konsultantami Biura byli wszyscy współpracownicy redakcji, ale w sprawach ważniejszych zwracano się o radę do najwybitniejszych członków kolonii polskiej, jak prof. Wł. Spasowicz, dyrektor B. Maleszewski, senator Gartkiewicz, mecenas Olszamowski, prof. A. Rudzki i t. d.

Obok informowania osób i organizacji krajowych o biegu spraw natury gospodarczej, jak losy starań o budowę nowych kolei w Królestwie, projektu zniesienia propinacji, uregulowania serwitutów, komasacji gruntów włościańskich i t. p., Biuro Informacyjne brało udział w zorganizowaniu akcji przeciwko sprawcom rzezi w Krożach, zbierało materiały w sprawie przesładowań unitów na Podlasiu, przeprowadziło wśród wybitnych działaczy rosyjskich ankietę co do zwrotu Warszawie biblioteki Załuskich (ogłoszoną w „Kraju”), rozwijało akcję



Siedzą od lewej: pani Żuk-Skarszewska, malarz Tadeusz Dmochowski—kierownik działu ilustracji; Józef Szyszło—zastępca redaktora naczelnego; Czesław Jankowski—redaktor działu literackiego; panna Wera Rymowiczówna, pani Helena Piltzowa—„prawa ręka” redaktora. Stoją od lewej: prof. Jan Łoś—czuwający nad czystością języka, student Sławiński—korektor, Józef Gieysztor—redaktor działu ekonomicznego, Erazm Piltz—naczelný redaktor, Bohdan Kutylowski—radca prawny, kierownik polityki wewnętrznej; Tadeusz Żuk-Skarszewski—redaktor działu zagranicznego; malarz B. Tomaszewicz—ilustrator

na rzecz wprowadzenia na terenie Królestwa instytutu sędziów przysięgłych, interwenjowało za pośrednictwem przychylniej części prasy rosyjskiej w sprawie pomniejszenia praw języka polskiego w szkole i na wykupywanych przez skarbkolejach w Kongresówce i t. p.

Jeżeli chodzi o działalność kulturalną, to już sam fakt istnienia w stolicy państwa redakcji pisma polskiego o poziomie „Kraju”, skupiającego przy sobie pierwszorzędne siły dziennikarskie i literackie, że wymienię tu: L. Grendyszyńskiego, L. Straszewicza, Cz. Jankowskiego, St. Krzywoszewskiego, W. Kosiakiewicza, M. Gawalewicz, T. Żuk-Skarszewskiego, prof. J. Łosia, B. Kutylowskiego, i wielu, wielu innych, sprawiał, że z ośrodka tego promieniowała wysoka kultura polska, pociągająca do siebie wszystko, co było w licznej Polonji petersburskiej wrażliwszego na wiedzę, piękno i dobro.

Ale na tym znakomitym doborze współpracowników pisma nie ograniczał się wpływ kulturalny „Kraju”. Obszerne stosunki i szeroka gościnność obojga pań-

stwa Piltzów sprawiały, że przez salony redaktorstwa nad kanałem Katarzyny przetaczały się zawsze fale gości z wszystkich dzielnic kraju: posłowie (do Sejmu galicyjskiego i do wiedeńskiej Rady Państwa), profesorowie, artyści, ziemianie, przemysłowcy i literaci z Królestwa, z Galicji, z Poznańskiego i „z Kraju Zachodniego”. Tu stykali się z nimi polscy mieszkańcy Petersburga i w rozmowach, często sporach, rozszerzali nawzajem swoje widnokreśli, zaznajamiali się z wielostronnością poglądów i celów, poznawali kraj z jego wielorakimi potrzebami i dążnościami. Przyjazd do Petersburga bardziej wybitnych osobistości lub też echo uroczystości w kraju dawały niestrudzonemu p. Erazmowi asumpt do aranżowania na wielką skalę zebrań towarzyskich, że przypomnę tu duży rant na cześć I. Paderewskiego, zorganizowany w 1899 r. staraniem redakcji „Kraju” w salonach znanej restauracji „Contan”, który zgromadził elitę polskiego towarzystwa, żądną poznania wielkiego muzyka i patrioty, oraz wspaniały bankiet w tejże restauracji w grudniu 1898 r. z

powodu odsłonięcia w Warszawie pomnika Mickiewicza, na którym to bankiecie Erazm Piltz wygłosił jako toast prześliczny wiersz p. t. „List Telimeny z tamtego świata”, świadczący o wszechstronności uzdolnień tego wybitnego pisarza.

Jeżeli tak się przedstawiał w objawach zewnętrznych związek „Kraju” z krajem, to o ileż ściślejszych form nabierał on dla nas, bezpośrednich współpracowników redakcji! Wyjątkowa gościnność państwa Piltzów, prostota w obejściu i stosunek szczerzej serdeczności sprawiały, że czuliśmy się tu wszyscy, jak u siebie, i gromadziliśmy się nie tylko w godzinach pracy, ale o każdej porze dnia, aby zasięgnąć nowych wiadomości z kraju od świetnie zorganizowanej sieci korespondentów, spotkać się z przybyłym do stolicy gościem z Warszawy, Krakowa lub Poznania, albo podzielić się zdobytą osobistą nowiną z za kulis ministerstw, urzędów lub politycznych czy społecznych organizacji rosyjskich.

Redakcja „Kraju” była dla nas nieurzędową ekspozyturą kraju, narodową

placówką eksterytorjalną w obcej stolicy, gdzie się nie tylko mówiło i pisało po polsku, ale gdzie się naprawdę oddychało polskością najbardziej żywą i aktualną. Na zebraniach redakcyjnych omawiane były zbiorowo wszystkie zagadnienia chwili bieżącej, odczytywano listy i korespondencje z najdalszych placówek polskości, ustalano wytyczne dla pracy, prowadzonej nieraz w tak ciężkiej atmosferze politycznej, że jedyną pobudką mogło być hasło: „contra spem spero!” Ale że optymizm i wiara w lepszą przyszłość górowały u p. Erazma, a pod jego wpływem i u nas, nie ulegaliśmy zniechęceniu i zebrania kończyły się zawsze w nastroju, pokrewnym nietylko oportunistycznej zasadzie: „jakoś to będzie”, co męskiemu: „nie damy się!”.

Zebrania redakcyjne, z inicjatywy towarzyskiego zawsze p. Erazma, przybierały często formę śniadań lub wieczery koleżeńskich. Z jaką łatwością, świadczącą o tkwiącej w każdym dziennikarzu, literacie czy artyście cyganerii, przechodziliśmy wówczas od tematów najpoważniejszych do żartów i wesołości nieskrępowanej, ujawniającej nieraz nieoczekiwane źródła humoru u pozornie poważnych redaktorów czy mecenasów.

Józef Szyszło, zwany przez nas „zdrowym rozsądkiem” redakcji, z którego równowagą opinią liczył się bardzo łatwozapalny Piltz, wyśpiewywał przy fortepianie piosenki naszych prababek: „Już miesiąc zaszedł i psy się uśpiły”, albo „Nie dając matce powodu, wyszła Philis do ogrodu”, akompaniując sobie jednym palcem. Malarz Tadeusz Dmochowski opowiadał świetnie anegdoty inflanckie, wygłaszane w doskonale uchwyconej gwarze polsko-białoruskiej, sekundował zaś mu drugi malarz, Włodzimierz Tetmajer, zachwycając nas mało jeszcze wówczas znaną gwarą podhalańską.

Błyskotliwą szermierkę językową prowadzili Czesław Jankowski i Stefan Krzywoszewski, pierwszy — galant z okresu niemal stanisławowskiego, piewca markizów i pasterek, drugi — najbardziej współczesny warszawiak, obaj świetni styliści, tryskający dowcipem, ujętym w wersalskie formy. Tadeusz Żuk-Skarszewski opowiadał ciekawe obserwacje z życia Polaków w Ameryce, gdzie dłuższy czas spędził, a równocześnie odtwarzał znakomicie krakowiaki ludowe, z których szczególnie powodzeniem cieszyła się opowieść o „Kaśce i karafjole”. W nagrodę za nią śpiewaliśmy chórem „God save the Queen”, jako że żona p. Tadeusza była Angielką. Stanisław Hłasko deklamował modny wówczas wiersz Kazimierza Tetmajera „Evviva l'arte”, że jednak wiersz był długi, a towarzystwo rozbawione, nie udawało mu się nigdy wypowiedzieć wiersza do końca. Józef Hiż przypominał czasy swego redaktorstwa w „Kurjerze Warszawskim” i roztaczał przed nami, młodszymi, barwne

sylwety ówczesnych działaczy i oryginałów na gruncie warszawskim. Uzupełniali je w stosunku do nowszych czasów stale wesoły i pogodny Marjan Gawalewicz lub jowialny, o znakomitym zawsze apetycie, Wincenty Kosiakiewicz. Nic dziwnego, że w tej atmosferze pra-

SZKOŁA „KRAJU”

Erazm Piltz był nie tylko znakomitym publicystą i niezrównanym redaktorem. Był również jednym z bardzo nielicznych w Polsce wychowawców całego pokolenia publicystów i dziennikarzy. Jego talent organizacyjny sprawiał, że każdy literat czy dziennikarz, który się do niego zbliżał, a w którym podejrzewał zdolności, budził w nim zainteresowanie. W ten sposób „Kraj” nigdy nie był martwą sadzawką o stojących wodach. Był żywym jeziorem, zasilanym nieustannie ze stałych źródeł i z coraz to nowych, wpadających doń strumieni i rzek.

Kiedy rozpoczynałem moją współpracę w „Kraju”, jako korespondent paryski (1897), po Wincentym Kosiakiewiczu, który powrócił do Warszawy, otrzymałem od Piltza ściśle instrukcje, — tak rzadko stosowane w czasopiśmiennictwie polskim. W parę miesięcy później przybył Piltz do Paryża. W ciągu dwóch tygodni, które spędził wówczas w stolicy Francji, codziennie toczył ze mną długie rozmowy na temat mego współpracownictwa. Należy przytem zaznaczyć, że nie narzucał wcale swoich koncepcji dziennikarskich. Przeciwnie, nalegał na samodzielność mojej inicjatywy w wyborze tematów, starał się moją pomysłowość podniecić i rozwinąć.

Piltz często wyjeżdżał z Petersburga zagranicę, odwiedzał swych korespondentów, sprowadzał nieraz tam, gdzie bawił, wybitniejszych współpracowników z Petersburga i Polski. Dzięki temu, mieszkając w Paryżu, a później w Berlinie i w Wiedniu, nawiązałem bliskie stosunki koleżeńskie i przyjacielskie z Tadeuszem Smarzewskim, z Ludwikiem Straszewiczem, z Antonim Chłonińskim, z Ludomirem Grendyszyńskim.

Najdoskonalszą jednak praktyką dziennikarską był dla mnie kilkakrotny pobyt w Petersburgu. Redakcja „Kraju” podlegała częstym zmianom w swym zespole. Prócz tych współpracowników, którzy byli stałymi mieszkańcami Petersburga (Wł. Spasowicz, Wł. Żukowski, Józef Szyszło, Bohdan

cy ideowej, w otoczeniu o wysokim poziomie kultury i w warunkach serdecznego zbliżenia towarzyskiego, wytworzył się zespół ludzi, złączonych z sobą wspomnieniami o przeżytych razem „dobrych” latach pracy w „Kraju” i dla kraju.

J. Gieysztor.

Kutyłowski, Zygmunt Rymowicz, Stanisław Hłasko, Józef Gieysztor, prof. Łoś etc.), w redakcji zawsze brali udział współpracownicy zewnętrzni, już to na dłuższy czas kontraktowani, jak Czesław Jankowski, Tadeusz Żuk-Skarszewski, Wojciech Baranowski, Winc. Kosiakiewicz, — już zapraszani na krótsze, kilkumiesięczne okresy, jak Smarzewski, Chłoniński, Straszewicz, Grendyszyński, ja i wielu innych. Dla mnie, mieszkającego zagranicą, takie zbliżenie się z „wielkim ołtarzem”, z głównym warsztatem pracy, było nieocenioną nauką, lubo sam Piltz już wówczas tak był pochłonięty polityką, że sprawami czysto redakcyjnymi mniej się zajmował, przesiadywał przeważnie w Warszawie lub zagranicą. Nad harmonią i spójnością pracy w redakcji czuwała pani Helena Piltzowa, której takt, uprzejmość, niewyczerpana życzliwość i bystry zmysł orientacyjny budził w nas wszystkich podziw, i p. Henryk Klette, najmilszy z administratorów czasopiśmienniczych, z jakimi miałem sposobność bliżej się zetknąć.

Stosunek Piltza do swego sztabu redakcyjnego był wzorowy. Nie narzucał nigdy nikomu swych idei: starał się tylko przekonywać, zjednywać dla swoich poglądów. Jeśli spostrzegał, że nie udało mu się rozproszyć wszystkich wątpliwości, wracał do przedmiotu, poświęcał dni i tygodnie, by odnieść zwycięstwo. Charakterystyczną cechą jego było, że z przeciwnikami swymi nietylko prowadził walkę, jak starał się przekonać ich argumentami. Taktyka ta niezawsze dawała pomyślne wyniki.

Natomiast, w stosunku do najbliższych współpracowników wytwarzała spójność wewnętrzną, tak pożądaną w każdej redakcji. Wśród członków redakcyjnego zespołu umacniała węzły koleżeństwa, wzajemnego zaufania i przyjaźni. Te ściśle i serdeczne węzły przetrwały wiele prób i nie traciły na sile, tylko że z owego zespołu niewiele już dziś pozostało przy życiu.

Stef. Krz.

WIEC PROTESTACYJNY W WARSZAWIE PRZECIW ZAKUSOM NIEMIECKIM



Dnia 11 b. m. Plac Marszałka Piłsudskiego w Warszawie wypełniły 30-tysięczne tłumy manifestując przeciwko agitacji niemieckiej za rewizją granic zachodnich Polski

Fot. Jan Ryś

MANIFESTACJA PATRJOTYCZNA NA KURPIACH



Wojewoda białostocki M. Zyndram-Kościałkowski przemawia w dn. 3 b. m. na odsłonięciu pomnika Powstańców 1863 roku, poległych pod Myszyniec. Słuchały go liczne rzesze ludu kurpiowskiego w barwnych strojach, oraz delegacje Mazurów, przybyłe z poza kordonu granicznego. Około 8000 ludzi wzięło udział w tej podniosłej demonstracji przeciwko wrogim zakusom na ziemie polskie

Fot. Waltz—Ostrołęka



Wystawa Sztuki Międzynarodowej w Wenecji

Statek, kursujący między Lido a Wenecją, zatrzymuje się przed Gidini Publici, gdzie już na przystani widnieje napis wielkimi literami: — Esposizione Biennale Internationale d'Arte di Venezia.

W niedużym, ładnym parku stoją rozrzucone pawilony sztuki wielu państw: włoski, belgijski, hiszpański, duński, francuski, angielski, Stanów Zjednoczonych, austriacki, rosyjski, węgierski, czeski, szwajcarski i polski. Oczywiście w centrum największy, bo mieszczący zgórą pięćdziesiąt sal, — jest włoski, bo przeciętnie pawilony inny państw mają od dwóch do pięciu sal.

Pawilon włoski bogato reprezentuje ostatnich pięćdziesiąt lat twórczości swego kraju. A więc Boldini, Favretto, Angelo Gianese, Bacci — to koniec XIX stulecia. Późniejsi, już modernści XX wieku, wychowani na antyku greckiej rzeźby i prze-
rafinowani przez Picassa i Cézanne'a, jak Chirico, Funi, Nathan, aż do skrajnej moderny włoskiej — odrzucającej wszelką tradycję minionej sztuki — a wywodzącej się w prostej linii tylko od

Picassa — do Prampolini, Fillia, de Pero i wielu, wielu innych.

Zewnętrzna architektura pawilonu włoskiego (projektowana przez Duillio Tor-

gata, mimo wyraźnych wpływów malarstwa paryskiego, posiada wybitnie indywidualny charakter i, trzeba bezstronnie przyznać, jest najlepsza w porównaniu do innych państw.

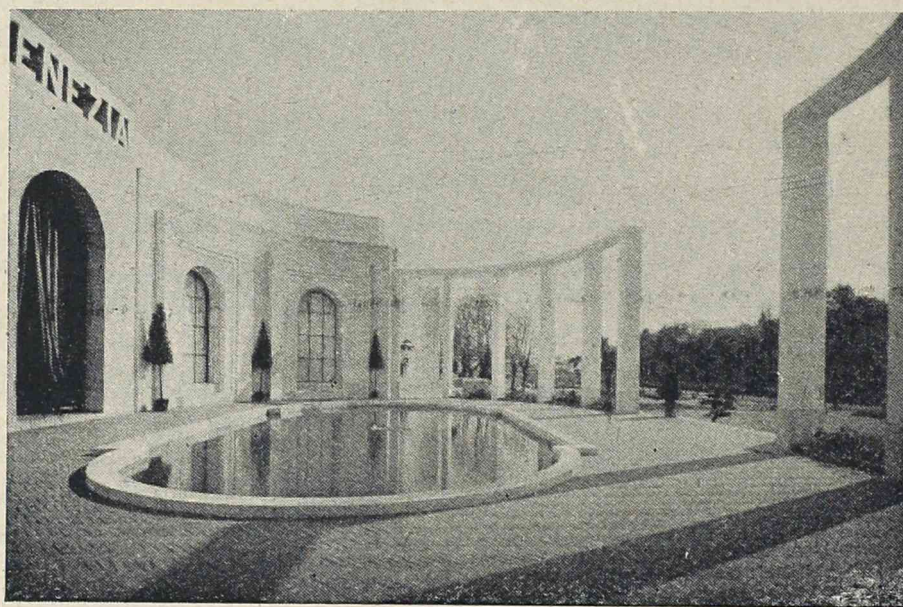
Charakterystyczną cechą włoskiego malarstwa, jak zresztą i sztuki dekoracyjnej, jest zachowanie własnego oblicza, duży temperament artystyczny, estetyka i umiar. Poprostu wyczuwa się pod mocną powłoką wpływów malarstwa francuskiego — jeszcze mocniejszą tradycję — sztuki własnego kraju.

Rzecz prosta, że połączenie dwóch dużych wartości — musiało dać dobry rezultat.

*

Pawilon włoski opuszcza się pod wrażeniem żywej, pulsującej twórczości tego narodu.

Wśród zaproszonych przez Włochów jest malarz, obecnie bardzo znany w Paryżu — M. Kisling, urodzony w Polsce. Duża, trochę ciemna sala, bogato zawieszona obrazami o dominującym kolorze ciała — gorącego cadmium, na tle intensywnych zieleni, ultramaryny i cynobru. Obrazy Kislinga mają jemu



PAWILON WŁOSKIEJ SZTUKI DEKORACYJNEJ, MIESZCZĄCY
TEŻ DZIAŁ POLSKI

res), bardzo prosta i logiczna, dźwiga na czterech kolumnach płaskorzeźbę liter „Italia” z dwoma ornamentami, po obu stronach lew św. Marka, trzymający w łapach tablicę Pax tibi.

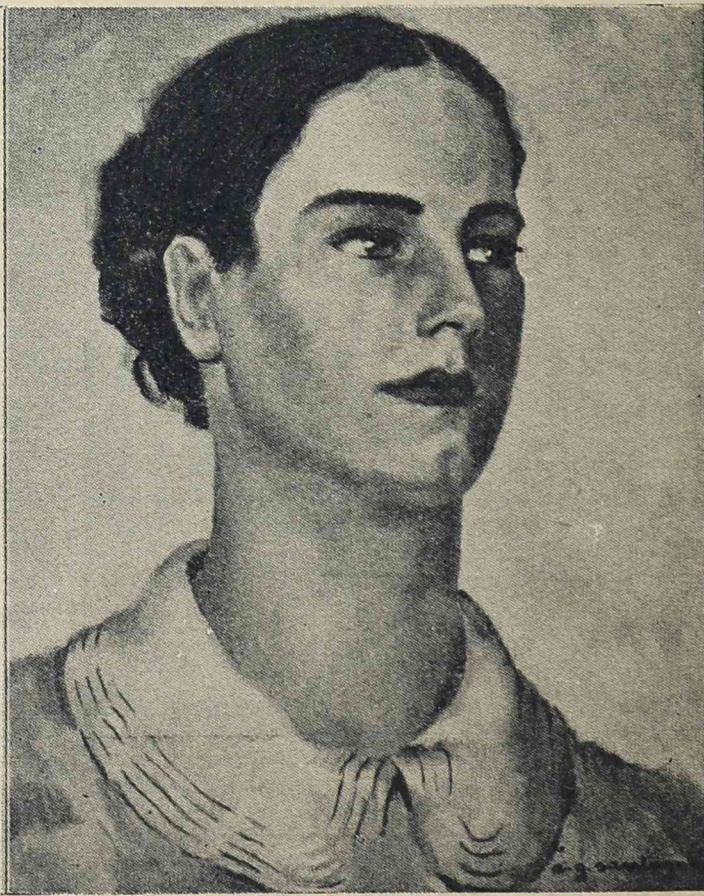
Wystawa pawilonu włoskiego jest bo-



MARYLA LEDNICKA SZCZYTT: PORTRET
HRABINY ORietta BORRAMEO



GINO SEVERINI: PIERFOT
Z GITARĄ



ANTONIO GIUSEPPE SANTAGATA:
PORTRET



FILLIA: MĘŻCZYZNA I KOBIETA



FORTUNATO DE PERO: KOMPOZYCJA ALPEJSKA

tylko właściwą zmysłowość koloru i silnie niepokoją artystycznie.

*

W Pawilonie Sztuki Dekoracyjnej Włoskiej (w innej części parku) wystawione są eksponaty, wazy, szkła, majolika, koronki. Mają właściwą dziś dla Włochów strzelistość formy i wytworność koloru. Dużą swobodę a zarazem dyskrekcję środków.

Przedmioty te, rozmieszczone zupełnie luźno w gablotkach ze szkła i metalu, na tle perłowo-szarych ścian i draperji, są doskonale oświetlone dziennym i sztucznym światłem.

*

Po prawej stronie pawilonu Sztuki Dek. Włoskiej — mieści się pawilon Sztuki Polskiej, a po lewej — Szwajcarskiej.

Przed gmachem cichutko szemrze fontanna, spływająca do basenu z wodą o kolorze najszlachetniejszego szmaragdu.

Poza tem świeci słońce, pachną kwiaty i śpiewają słowiki. Wszystko to szczęśliwie składa się na bardzo życzliwy stosunek do naszego pawilonu, gdzie na górze widnieje biała płaskorzeźba liter — „Polonia”.

To słowo zawsze wzrusza na obcej ziemi, a szczególnie, kiedy chodzi o reprezentację wartości naszego ducha.

Już u samego wejścia, w przedsionku pawilonu, stoją rzeźby Kuny i Dunikowskiego. Bezwzględnie jest to najlepszy moment wystawy. Dopiero tu widzimy, na jak wysokim poziomie są ci dwaj artyści. Powaga wyrazu i formy większa, niż w rzeźbach innych państw. „Atalante” H. Kuny, na tle białej wnęki muru, gra szlachetnością materiału, gestu i wyrazu, a na przeciwnej ścianie spatynowa-

ny bronz „Głowy mężczyzny” Dunikowskiego wzrusza siłą i sentymentem w dobrem połączeniu słowiańsko - greckich elementów.

Po dokładnem przejrzeniu trzech sal Sztuki Polskiej dochodzi się do miłego samopoczucia, że przy większym wysiłku organizacji wystawy pawilon polski mógłby bezsprzecznie zająć jedno z najlepszych miejsc na Międzynarodowej wystawie w Wenecji.

W dziale polskim razi najbardziej brak programu. Skupienie (niepotrzebne zupełnie) w jednej sali artystów aż tak różnych kierunkiem i stylem, jak Jarocki, Witkowski, Sichulski, Kowarski i Stryjeńska, wytwarza chaos i sąsiedztwem szkodzi jeden obraz drugiemu.

Słuszną zasadą ogólnej wystawy w Biennale jest oddanie całej ściany jednemu artyście. W tych warunkach malarz może dać około 5 prac, które, ujęte w całość, charakteryzują jego twórczość.

Niestety, w pawilonie polskim, niewiadomo dlaczego, przeważnie zbagatelizowano ten dobry zwyczaj, bez ceremonji zawieszając nie mieszczące się już na jednej ścianie obrazy tego samego malar-

za — na drugiej, np. obrazy Jarockiego wkroczyły na ścianę Kowarskiego, Witkowskiego dostały się na ścianę Stryjeńskiej i t. d.

Ogólnie, znając możliwości naszych malarzy, widzimy zbyt pobieżny wybór exponatów. Dlatego więc, celem uniknięcia na przyszłość podobnych omyłek, przed każdą wystawą zagraniczną powinien się odbyć w gmachu wystawowym w Warszawie przegląd prac, które mają być wysłane, chociażby dlatego, żeby wystawiający artyści sami mogli zorjentować się, które ich prace przeznaczone na wystawę i mieli możność zaradzić złemu wyborowi.

W każdym razie, nie może o tem decydować tylko jeden komisarz wystawy (dyrektor), który przy największych zaletach umysłu i charakteru może być omylny, a nawet — jednostronny.

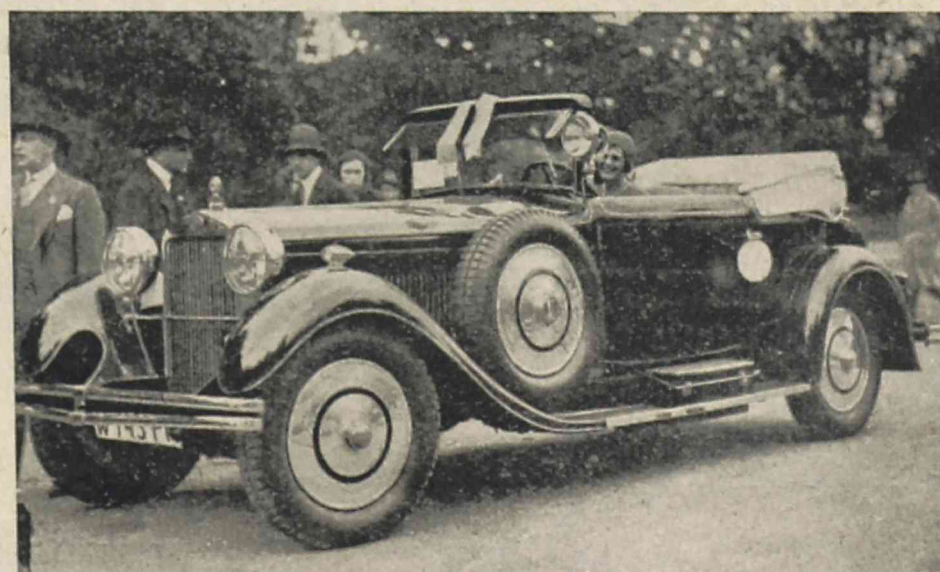
Narazie, pewne jest tylko to, że miejsce Sztuki Polskiej na międzynarodowych wystawach — może być znacznie poważniejsze, niż sobie wyobrażają nasi krytycy i organizatorzy wystawy.

Irena Pokrzywnicka.

Wenecja.

Kabriolet DELAGE
nagrodzony na konkursie piękności samochodów w dn. 26 czerwca r. b. jedną z pierwszych trzech równorzędnych (ex aequo) nagród.

Fot. Jan Ryś



Młodzi z trzech kontynentów



Japońskie dziewczęta studjują grę do filmu: scena dramatyczna, mająca wywołać grozę!



Mali murzyni grają w noski; widać, któremu z nich dopisało szczęście



Księżniczka Etyopska otrzymała od katolickiego misjonarza w prezencie płaszcz i jest zadowolona z daru



Czarujący uśmiech miłej amerykanki z Los Angeles zapowiada w przyszłości nieładną kokietkę. Co też z niej wyrośnie?

MASZYNNKA SPIRYTUSOWA

• EMES •

*to najlepsza pomocni-
ca Pani Domu - goto-
waniu na niej jest praca
dziwka przyjemności.*



BEZPIECZNA

PRAKTYCZNA

PALI SIĘ BEZ
SZUMU

NIE WYDZIELA
KOPCIU I SWĘDU

WYRÓBKRAJOWY

12 zł
12 pt.

GWIAZDY EKRANU i ICH CIENIE

(Z POWODU SZTUKI B. FRANKA W TEATRZE LETNIM)



RITA MENGEL

Dwie młode dziewczyny wychodzą z kina. Zgrabne, smukłe, wysportowane. Lipcowe słońce złotą patyną pokryło kształtne ręce i ładnie zarysowane karki. Cienki jedwab sukienek przeży się na twardych, zuchwałych pąkach.

— Jak ta Marlena cudownie jeździ konno...—zachwycę się jedna. I jak wspańiale skacze... Zauważyłaś?... Chciałabym to umieć....

Nieprawda! Marlena Dietrich wcale cudownie nie jeździ konno. To też jedna z wielu tajemnic baśniowego świata filmu, o której nie wiedzą te dwie panienki, jak i inni. „Gwiazdy” nie wolno narażać na efektowne skoki, karkołomną jazdę samochodem, lub spacerować po stalowym drucie, rozciągniętym pod stropem kopuły cyrkowej. Nawet, gdy jest specjalistką w pewnym sporcie, o wypadek nie trudno. Zresztą, niema na świecie doskonałości. Nie można być równocześnie znakomitą aktorką, fechtmistrzynią, automobilistką, czy alpinistką. A jednak różnorodność możliwości i efektów ekranowych wymaga, że gwiazda musi wszystko „umieć”. Musi być stuprocentową kobietą i stuprocentową sportsmanką. Lecz od czego jest pomysłowość reżyserów, operatorów, inscenizatorów, słowem, tych wszystkich magów, którzy milionowym rzeszom stwarzają cud filmu. Oni to muszą wyszukać sobowtóry gwiazd.

Każda bowiem gwiazda ma obecnie tak zwane w gwarze zakulisowej „double”. Obowiązkiem jego jest narażać się na kalectwo, a nawet śmierć w zastępstwie gwiazdy. Niebezpieczna galopada przez



KÄTHE V. NAGY

wertepy i bezdroża, mrozący krew w żyłach pościg samochodem, niebezpieczny skok z pędzącego ekspresu, lub karkołomne ewolucje na skrzydle samolotu, to wszystko, w dodatku za daleko mniejszą gażę, wykonuje „double”. Jest on, albo ona, niejako cieniem gwiazdy, cieniem, który pewnego pięknego dnia może zupełnie zniknąć.

„Double” spuszcza się na linie w głąb przepaści, biega po krawędzi dachu drapacza chmur, spada w efektownym, sal-

to mortale” na rozpiętą siatkę. A gwiazda zdobywa sławę nieustraszonej akrobatki.

W poszukiwaniu „double” dopomaga często przypadek, lecz znacznie częściej popularność gwiazdy i kobieca próżność. Słynna artystka filmowa stwarza bowiem swój własny typ, który znajduje mnóstwo naśladowczyń. A ponieważ dotychczas jeszcze w żadnym urzędzie patentowym całego świata nie można opatentować „własnego typu” i opatrzyć go marką ochronną, naśladowców, a zwłaszcza naśladowczyń znajduje się bardzo wiele. Pozorne podobieństwo można podchwycić niemal całkowicie przez uczesanie, rysunek brwi, sposób układu ust, a jeśli przytem posiada się pewne sportowe kwalifikacje, podobieństwo to staje się źródłem wcale ładnego, choć nie zawsze bezpiecznego zarobku.

I w ten sposób na horyzoncie, a właściwie za kulisami filmu, zjawia się „double”. Znakomita artystka niemiecka, Marlena Dietrich, którą spopularyzowały w Polsce filmy „Marokko”, a przede wszystkim „X 27”, posiada swego idealnego wprost sobowtóra. Jest nim uroczą studentką szczecińską, Irmtraud Reumann, która szczyci się nie tylko profilem i spojrzeniem Marleny, lecz również jej figurą, a przede wszystkim jej nóżkami. Jest poprostu żywą kopją. Wystarczy spojrzeć na fotografię obok.

Nie mniej silne podobieństwo, zwiększone jeszcze przy pomocy charakterystyki, zachodzi między znaną nam dobrze Lili Damitą i Annabellą. Obie mają nie-



GRETA GARBO



FRITZI SCHADL



mal identyczne rysy, figury, ten sam wdzięk i obie są francuzkami. To też bardzo wielu nawet bywalców kina myli je ze sobą.

MARLENA
DIETRICH

Najmodniejsza i najpopularniejsza wśród zmanjerowanych chłopczych, ze względu na swoją niepokojącą i demoniczną urodę, Greta Garbo, ma całe zastępy swoich sobowtórów. Gdy przed kilkunastu jeszcze laty szczytem komplementu było porównanie swojej sympatii do Afrodyty, czy Monny Lizy, dziś tego rodzaju wyznaczenie jest poprostu grubą niezręcznością. Jeśli się dzisiaj chce zdobyć kobietę, należy powiedzieć jej, że jest podobna do Greta. Skutek niezawodny.

Najklasyczniejszym „double” Greta Garbo jest Fritzi Schadl, oraz pewna młoda osóbką, stała bywalczynią w popularnej cukierni przy ulicy Mazowieckiej.

Ogromne również podobieństwo zachodzi między węgierską artystką Käthe v. Nagy a niemiecką tancerką Ritą Mengel, podobieństwo tak daleko posunięte, że można uważać je za bliźniaczki.

Zdolności sobowtórcze wyzyskane zostały już oddawna w kinematografii. Gdy na horyzoncie jupiterów pojawia się nowa gwiazda, sztab agentów wytwórni zaczyna poszukiwanie „double”, który nagrywa niebezpieczniejsze momenty filmu, lub też posiada wyższe kwalifikacje sportowe. I w polskich filmach nie obchodziło się bez „double”. Swego sobowtóra miała Janina Szylinzanka, za którą piękne ewolucje gimnastyczne w „Carewiczu” wykonywał kto inny. Kilkakro-

IRMTRAUD
REUMANN

tnie sobowtórami posługiwała się Jadwiga Smosarska i Jerzy Leszczyński, uważany za doskonałego... kawalerzystę.

Na premierze pewnego filmu pewna czarnooka panienka, patrząc na cwałującego konno Jurka, westchnęła:

— Z takim jeźdźcem pojechałabym na kraj świata...

Popularność „double” w świecie filmowym jest tak wielka, że pozazdrościł jej teatr, nie w dosłownym coprawda, ale przenośnym tego słowa znaczeniu. Znanymi pisarz niemiecki Brunon Frank konstruował na tym tle doskonałą komedię p. t. „Gwiazdy ekranu” (Nina), którą wkrótce ujrzymy na deskach teatru Letniego. Treścią sztuki są przygody i perypetje gwiazdy filmowej, oraz jej „double”. Komedia cieszy się ogromnym powodzeniem na scenach austriackich, niemieckich, czeskich i włoskich. W Wiedniu i Berlinie podwójną rolę główną grała świetna artystka operetkowa Massary. U nas odtworzy ją Marja Gorczyńska.

Sztuka posiada niestety jedną wadę, co

nie jest bynajmniej winą autora, lecz „zacofania” teatru. Oto, ani razu na scenie nie ukazują się równocześnie gwiazda i jej „double”. Wyobraźmy sobie, co by to była za rozkosz zobaczyć na scenie dwie Marysie Gorczyńskie!

Film może sobie na to pozwolić. Bardzo często widzimy na ekranie dwie Marleny, dwie Klary Bow, rozmawiające ze sobą i zachwycamy się wówczas „techniką” montowania taśmy, nie przypuszczając ani przez chwilę, że widzimy rzeczywiście *dwie różne osoby* — gwiazdę i jej sobowtóra.

Sekret zdradzony.

Więc entuzjazmując się grą tej czy innej artystki, podziwiając nieraz niebezpieczne i brawurowe skoki czy tricki, zachowajmy choć cząstkę naszego zachwytu i dla kogoś innego — dla bezimiennego cienia gwiazdy — dla jej „double”.

Jemu, oprócz gaży i odszkodowania w razie nieszczęśliwego wypadku, należy się też coś więcej. Choć odrobinę sławy i uznania, którą tak apodyktycznie zabierają dla siebie gwiazdy.

j. s. w.

WIECZNA ONDULACJĘ

„INDEFRISABLE”

najtrwalszym systemem bez względu
na stan włosów

wykonywa się w firmie

B. MAZURKIEWICZ

NOWY ŚWIAT 40 (GDZIE KINO „PAN”)

SUKCES ŚPIEWACZKI POLSKIEJ



P. JANINA GODLEWSKA, MŁODA I UTALENTOWANA ŚPIEWACZKA (MEZZO-SOPRAN), UZYSKAŁA DUŻY SUKCES NA MIĘDZYNARODOWYM KONKURSIE ŚPIEWACZYM W WIEDNIU, ZDOBYWAJĄC „DYPLOM UZNANIA”



Niema wątpliwości...

Jeśli założysz do swej kamery błonę „**Verichrome**”, możesz być zupełnie pewny, że zdjęcie będzie udane. Niespotykane zalety tych błon, ich wysoka czułość i barwoczułość umożliwiają fotografowanie wczesnym rankiem, późnym wieczorem, w dniu pochmurne, deszczowe, w cieniu, z taką samą pewnością powodzenia jak w dniu pogodne.

A jeśli Twoją kamerą jest „**Kodak**”, „**Brownie**” lub „**Nagel**” doskonałość Twoich zdjęć jest zapewniona.

„**VERICHROME**” (wyrób Kodaka)

to gwarancja dobrego zdjęcia!

Kodak Sp. z o. o. — Warszawa, plac Napoleona 5.

Szlakiem dziesiątej muzy

„**DAR POMORZA**” W AMERYKAŃSKIM FILMIE DŹWIĘKOWYM.

Niebywałem powodzeniem cieszy się obecnie w Ameryce wyświetlany tam filmowy dodatek dźwiękowy wytwórni Fox Film Co. z życia polskich marynarzy na szkolnym statku „Dar Pomorza”.

Zdjęcia zostały dokonane podczas bytności „Daru Pomorza” na wodach południowych.

Korespondent jednego z pism filmowych w ten sposób określa swoje wrażenia:

„Przed kilkoma dniami przeżyłem chwilę prawdziwej radości. Na Broadway'u, koło 47 ulicy, jest kino „Aktualności”. Zaszedłem i nagle w czasie oglądania „różnych różności” zapłonął na ekranie napis: Polski statek szkolny „Dar Pomorza” na wodach południowych”. 200 metrów cudownych zdjęć dźwiękowych

Foxa z życia załogi drogiej polskich kadetów. A więc ogólny widok statku na tle chmur i fal z rozwiniętymi żaglami. Prawdziwy widok z bajki. Potem epizody z życia załogi, polskie pieśni, śpiewane przez naszych chłopców, komenda wydawana w polskim języku i wreszcie statek przy dźwiękach marsza Dąbrowskiego znika w oddali.

Publiczność podziwia karkołomne wyczyny naszych kadetów na masztach, a że nie umie oglądać filmu bez żywej i słownej reakcji, wyraża swój zachwyt bardzo głośno.

Jak się dowiadujemy, warszawskie biuro Fox Film Co. drogą radiową zażądało nadesłania kopii tego filmu, który już niebawem będzie wyświetlany na ekranach polskich.

JESZCZE JEDEN NOWY FILM POLSKI.

Jedną z najbardziej „fotogenicznych” powieści ostatniej doby jest niewątpliwie

wydana przed kilku miesiącami powieść utalentowanego autora „Kłamcy”, „Zielonej kadry” i „Szybu Nr. 4”, Jerzego Kosowskiego p. t. „Cyrk”. Na film nadaje się ona tembardziej, że i sam temat i jego ujęcie pozwalają przenieść akcję na każdy teren, czy to swojski, czy międzynarodowy, powieść ta więc, jako film, odpowiednio skonstruowany, mogłaby liczyć na poparcie zagranicy.

Film ma realizować reżyser Ryszard Ordyński, który obecnie rozpoczął angażowanie zespołu.

ODPOCZYNEK „GWIAZD”.

Frederick March, odtwórca podwójnej roli w niesamowitym dramacie „Dr. Jekyll i Mr. Hyde”, ma zamiary romantyczne: pragnie nabyć małą wysepkę na Vancouver i spędzić tu 3—4 miesiące. Przez ten czas nie będzie pracował, ale poprostu łowił... ryby.

Miriam Hopkins uważa, że niema nic przyjemniejszego nad wycieczkę po Szkocji w sierpniu lub wrześniu rowe-rem.

Któżby podejrzewał złotowłosego „wampa” z „Dr. Jekylla” i „24 godzin” o tak wybitnie sportowe zamiłowania?

Silvia Sidney natomiast pozostanie w New Yorku, gdzie będzie studjować życie w herbaciarniach i cukierniach.

Richard Arlen kupił sobie yacht i wyjeżdża, Gary Cooper udaje się do Arizony, Claudette Colbert odbędzie podróż naokoło świata na statku towarowym, a George Bancroft będzie polował...

Marlena Dietrich i Sternberg pozostają w Hollywood'zie.

Przez czas pewien świat filmowy miał nielada sensację: Kolportowano wiadomość, zaopatrzoną w soczyste i obszerne komentarze: „Marlena Dietrich i Józef Sternberg zerwali umowę z Paramountem, opuszczają Hollywood. Nie chcą dokończyć rozpoczętego filmu”.

Jako tło zatargu podawano różnice w ujęciu scenarjusza przez Sternberga oraz kierownika produkcji Paramountu Schoulberga. Miał to być zatem jeszcze jeden dowód niemożności pogodzenia się i współpracy europejskiego intelektu z amerykańskim „bussinessem”.

Mówiło się o jakimś sensacyjnym procesie przeciwko Sternbergowi. Sam Sternberg miał oświadczyć, że wyjeżdża do Francji, gdzie będzie realizował filmy, że Marlena Dietrich rezygnuje z Hollywoodu i solidarnie z nim, Sternbergiem, przenosi się do Europy.

Niebawem jednak zarówno Sternberg, jak Marlena Dietrich, ogłosili w prasie oficjalne „dementi”.

Pozostają. Film wkrótce ukaże się na ekranie. Będzie się nazywał „Blonde Venus” (Jasnowłosa Venus).

Spór owszem był, ale miał on zgola inne podłoże.

Sternberg chciał w tym filmie zastosować nowy sposób dokonywania zdjęć. System ten nie był nawet wypróbowany. Na sprawdzenie, czy eksperyment ten może się udać, trzeba byłoby kilku miesięcy, co oznaczałoby odłożenie realizacji „Jasnowłosej Venus” na pół roku. Na to wytwórnia Paramount nie mogła się zgodzić i stąd pogłoski o rozwodzie Marleny i Sternberga z Paramountem.

Akuszerka Necka, przyjmuje, przyjezdne, miejscowe, udziela porad.

Wspólna 4—6, tel. 262-91

Co z sobą zabrać?

Nigdy silniej nie odczuwamy tęsknoty do wyjazdów, jak w okresie upałów letnich. Nęcą nas obszary pól i lasów, plaże nadmorskie, wędrowki w górach.

Myśl o podróży nasuwa kwestję toaletową, która żadnej kobiecie nie jest nigdy obojętna, a cóż dopiero w tak ważnej chwili. Dobry smak i umiar są zawsze najlepszymi doradcami i każda wytworna pani, kierując się temi kryteriami, będzie wszędzie odpowiednio do otoczenia ubrana.

Aby się uchronić od niepotrzebnego balastu, musimy koniecznie przeprowadzić pewną selekcję zabieranej z sobą garderoby, kierując się celem wyjazdu i warunkami danej miejscowości. Jakże śmiesznie wyglądałyby stroje i bogate suknie w cichej, małej wiosce, otoczonej lasami! Modna, uczęszczana plaża wymaga innych toalet, jak naprz. podróżowanie samochodem lub koleją.

Naturalnie, że wyższe siły odgrywają tutaj niemałą rolę i często, mimo zapewnień Pima, sprawiają przykre niespodzianki, które w postaci zimna lub słoty psują z góry ułożone przez nas plany, ale nie martwmy się przed czasem.

Udając się koleją do celu podróży, kładziemy kostium z lekkiej wełny, lub jersey'u tak obecnie en vogue w kolorze szarym, beige, albo granatowym. Spódniczka z wysokim stanem, krótka i niezbyt wąska u dołu, bluzka jedwabna z długimi rękawami, najlepiej tego samego koloru. Żakiet krótki, dopasowany do figury, ozdobiony fantazyjnym zapięciem. Płaszcz reglanowy, również z wełny, barwą nieodcinający się od kostjumu, z sze-



rokiemi klapami i kieszeniami, spięty skórzanym paskiem. Czapeczka i szalik z kolorowego jersey'u, półbuciki brązowe, przybrane szarym zamszem; rękawiczki i torebka ze świńskiej skóry.

Wnętrze wagonu harmonizuje z dyskretną prostotą i wszelkie jaskrawe i

strojne ubrania, krótkie rękawy etc. są w tym wypadku nie na miejscu i świadczą o złym guście.

Jeśli mamy spędzić wakacje w skromnym letnisku, największą przysługę oddadzą nam jasne kolorowe sukienki bez rękawów. Płótno, bawełna, upstrzone kropkami, prążkami, czy kwiatkami, o kroju prostym, harmonizują z łąkami, lasem i rzeką. Kolorowe i białe sandały na bosych nóżkach, barwna chustka, zarzucona na szyję, wełniany sweter w chłodne wieczory — ot i wszystko. Wygodnie, estetycznie i, co najważniejsze, bez pretensji.

Natomiast pobyt w miejscowości kuracyjnej pociąga za sobą większe wymagania. Bawełniane, czy płóciennne sukienki, będące szczytem elegancji na głuchej wsi, tutaj tolerowane będą tylko przed południem. Zabawy ogrodowe, koncerty w kasynie, dancingi, bale obowiązują do strojniejszych już toalet. Komplet z jedwabnej piki, w kolorze błękitnym czy bananowym, z bolerką lub pelerynką, suknia z wzorzystego chifonu, krótkie okrycie z velour'u, pantofelki odpowiednie do całości i rozmaite drobiazgi okażą się niezbędne.

Nadmorska plaża otwiera szerokie pole dla dobrze ubierającej się kobiety. Nie mam na myśli małej skromnej miejscowości rybackiej, gdzie w towarzystwie autochtonów i flonder skromny trykot

I jak się ubrać?

kąpielowy będzie jedynym i najodpowiedniejszym ubiorem.

Moda obecna z niesłychaną pasją faworyzuje toalety przeznaczone nad morze. Począwszy od kostjumów kąpielowych, będących raczej wspomnieniem owych z ubiegłych lat, a skończywszy na pyjamach, które tysiącem barw odbijając na tle złocistego piasku, składają się na iście feeryczny obraz.

Kostjum kąpielowy, podlegając powszechnie panującej redukcji, przeszedł w tej mierze najśmielsze oczekiwania. Daleko posuniętą oszczędność materiału uzupełnia bogactwo kolorów i oryginalność inwencji. Skrawki wełnianego trykotu tworzą tu i ówdzie rodzaj arabesek na rodzonej skórze. W imię modnego dziś hasła „słońce, powietrze i woda”, figlarne szeleczki na plecach podtrzymują

skąpą resztę tego niepewnego gmachu. Całość zachwycająca, zwłaszcza na odpowiedniej wiekiem i kształtami osobce.

Pyjama plażowa, to cały poemat. Najbardziej posunięta dowolność w wyborze materiału. Surowy jedwab, kreton, szorstka bawełna, shantung, czy flanela, wszystkie mają tutaj szerokie zastosowanie. Połączenia dwu kontrastujących kolorów, krótkie bolerka bez rękawów, długie luźne żakiety, zasłaniające biodra, szarfy opasujące talie, oto najmodniejsza pyjama.

Dominujący, jak zwykle nad morzem, kolor biały, śmiało podkreślony czerwonym albo szafirowym.

Granatowe z miękkiej flaneli spodnie, kamizelka w czerwono-białe paski, czy biały krótki pullover, na to marynar-

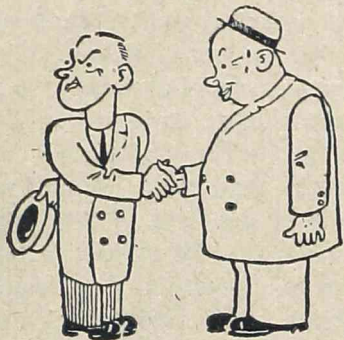


ski żakiecik, czerwony beret i płóciennne espadrille stanowią ekwipunek odpowiedni na wycieczki żaglówką.

A teraz, kończąc ten krótki „vade mecum” pani, udającej się na wywczasy letnie, dodać pragnę, że sama możliwość oderwania się od gwaru i codziennej tro-

ski życia miejskiego jest tak kusząca, że niejedna z nas, nie będąc zbyt gorliwą entuzjastką ostatniego krzyku mody, mimo pewnych braków garderobianych, rozkoszować się będzie pięknem przyrody, swobodą i nowymi wrażeniami nie mniej od najlepiej ustrojonej elegantki.
Zota.

Podanie wilgotnej dłoni pozostawia
zawsze przykre wrażenie



DINOL (płyn) opatentowany, niezawodny środek **od potu rąk i pach**

DINOL (proszek) **od potu nóg**

usuwa radykalnie pot i nieprzyjemną woń potu pach, rąk i nóg. Skutki gwarantowane już po pierwszym użyciu **Labor. Chemiczne „DINOL” Warszawa, Elektoralna 26**

Z OPERETKI



P. JANINA KULIKOWSKA, PRYMADONNA OPERY KATOWICKIEJ, OSTATNIO Z WIELKIM POWODZENIEM WYSTĘPOWAŁA NA SCENIE TEATRU NOWOŚCI W OPERETCE „KWIAT HAWAJU”

TEATRY MIEJSKIE W WARSZAWIE

TEATR NARODOWY

Od wtorku dn. 21 b. m.

„FANNY”

komedia M. Pagnola z M. Malicką w roli tytułowej.

Reżyserja Emila Chaberskiego. W rolach głównych Z. Czaplicka, B. Samborski, Tadeusz Wesołowski. Inne role grają pp. J. Janecka, H. Małkowski, H. Myszkiewicz i inni.

TEATR LETNI

Od soboty dn. 16 lipca

„GWIAZDY EKRANU”

Brunona Franka

w przekładzie

Zdzisława Kleszczyńskiego W głównych rolach: Gorczyńska, Różańska, Junosza-Stępowski, Crabowski

Wyniki ogłoszonego przez redakcję „Świata” konkursu fotograficznego p. n. „Wiosna”, z powodu obfite nadesłanego materiału, będziemy mogli ogłosić dopiero w Nr. następnym wraz z odbitkami nagrodzonych zdjęć.



Czapki sportowe
kapelusze kraj. i zagr.

MŁODKOWSKI

CUKROWO CHORZY!



DIETETYCZNE ARTYKUŁY
SPOŻYWCZE ZALECANE
PRZEZ PP. LEKARZY
POLECA

Cukro-dieta

WARSZAWA LESZNO 10 TEL. 11.95-57.

PRZYBORY PODRÓŻNE

GALANTERIA SKÓRZANA

J. KUCZMIEROWSKI

108 MARSZAŁKOWSKA 108

Mechaniczne Czyszczenie PIERZY

PRACOWNIA KOŁDER, BIELIZNY
I MATERACY

B. DAŁKOWSKI

Chmielna 14, tel. 748-11, Marszałkowska 119, tel. 280-10. Fabryka Ceglana 6.



PRACOWNIA ORTOPEDYCZNA

IGNACEGO JAWORSKIEGO

Warszawa - Praga

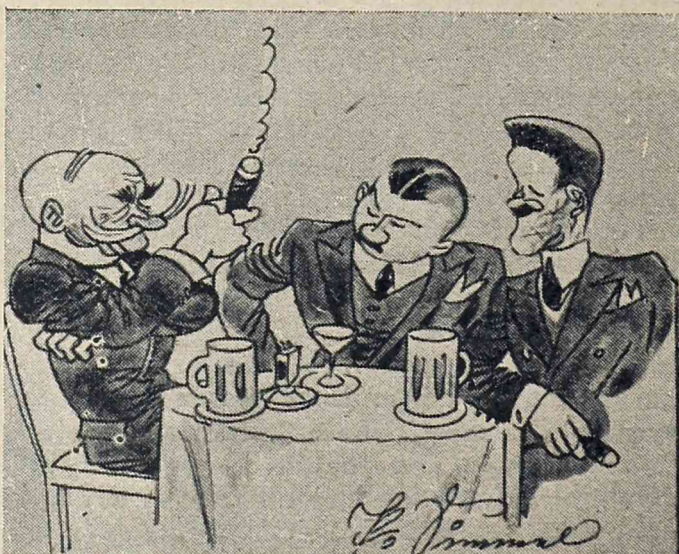
Targowa 38, fr. m. 6

Telefon 10-21-28

FIRMA EGZYSTUJE
OD 1921 R.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie ortopedji wchodzące jako to: Protezy nóg i rąk. Aparaty lecznicze. Gorsety ortopedyczne. Paski przepuklinowe i wszelkie reparacje. **Zwracać uwagę na firmę i adres, gdyż filji nie posiadam**

HUMOR ZAGRANICZNY



PRZY RYBCE

— Ryby zadziwiająco są żywotne. Wczoraj widziałem, jak pływały w gotującej się wodzie.
— To nic nadzwyczajnego. Raz podano mi kaczkę, która sfrunęła z talerza.

NOWOCZESNE DRUKI REKLAMOWE



GALEWSKI i DAU

ZAKŁADY DRUKARSKIE

WARSZAWA, ORDYNACKA 6.

Nr 48 (151) CZY WIECIE?

(Za każdą odpowiedź 1 punkt).

1. Kiedy i przez kogo zostały wynalezione karty do gry? 2. Co to są witaminy i przez kogo zostały odkryte? 3. Kto to jest „metrampaż”? 4. Jaka jest bandera polskiej marynarki wojennej? 5. Kiedy i z czyjej inicjatywy wznowione zostały Olimpiady? 6. Co to jest „loping”? 7. Gdzie znajduje się Góra Kościuszki? 8. Co znaczy skrót P. G. P.? 9. Od jak dawna istnieje parlamentaryzm? 10. Kto był twórcą Kanału Sueskiego?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z Nr. 23-go

Nr. 36 (139) KWADRAT MAGICZNY: „Kto wiele szumi, niewiele umie” (4 punkty).

Nr. 37 (140) ZADANIE MUZYCZNE: Fragmenty pochodziły z następujących utworów Szopena: 1) Preludjum As-dur, op. 28 Nr. 17, 2) Mazurek As-dur, op. 24 Nr. 3, 3) Rondo à la Mazur F-dur, op. 5, 4) Mazurek a-moll, op. 59 Nr. 1, 5) Mazurek D-dur, op. 33 Nr. 2. Zadanie, jako rozwiązywalne jedynie dla melomanów, nie zostanie wliczone do punktacji kwartalnej.

Nr. 38 (141) SZUKAJ BŁĘDÓW. 1) Makuszyński, choć zapalony bridżysta, nie napisał jeszcze książki o bridżu, 2) Karty źle rozdane, nierówna ilość, 3) Ołówki niezatemperowane, 4) Bloczków do zapisu za dużo, 5) Stół okrągły do bridża nie jest wygodny, 6) Przy filiżankach do herbaty na stoliku ustawiono dzbanek z kawą, 7) Stolik zasunięto, uniemożliwiając dostęp gospodyni, 8) Kanapy nie nadają się do siedzenia przy grze w karty, 9) zamiast popielniczek dano solniczki, 10) postawiono je na środku, uniemożliwiając rozdawanie kart.

Trafne rozwiązanie nadesłali:

pp. Albowicz Jerzy (10), Bahr Adam (10), Boguszeńska Irena (4), Burkat Kamil (10), Ceglińska Zofia (10), Dębowska Adolfa (6), Herbstmanówna Dorota (10), Jarkowska Aniela (4), Kretkowski Teodor (7), Klimczak Roman (10), Kowalska Janina (10), Nowicka Emilja (10), Oborski Karol (10), Poraziński Ryszard (10), Radwan Mieczysław (9), Rzeczkowski Aleksander (10), Sławnicki Michał (10), Tietz Zygmunt (10), Wesołowska Wacława (9), Żukowska Irena (10) — z Warszawy, oraz

pp. Aleksandrowicz Jan (10) — ze Lwowa, Bugajska Marja (10) — z Kłobucka, Bernatowicz Zygmunt (10), z Milanówka, Czarnocka Wanda (9) — (9) — Płocka, Dorszewski Rudolf (10) — ze Świecia,

Nr 49 (152) LOGOGRYF

1.	X	—	—	—	X
2.	X	—	—	—	X
3.	X	—	—	—	X
4.	X	—	—	—	X
5.	X	—	—	—	X
6.	X	—	—	—	X
7.	X	—	—	—	X
8.	X	—	—	—	X
9.	X	—	—	—	X

Wstawiając na miejsca kresek i krzyżyków litery, utworzyć 9 wyrazów o podanym znaczeniu. Litery na miejscach krzyżyków, czytane od góry do dołu dadzą nazwiska dwóch muzyków polskich. 1. Miasto w Polsce, 2. Drzewo, 3. Rzeka w Afryce, 4. Rzeka w Rosji, 5. Narząd, zdobny, 6. Roślina, (wspak), 7. Budowle obronne, 8. Rabin - cudotwórca (wspak), 9. Malowidło.

Głaziński Aleksander (10) — z Mińska Maz., Grodzicki Józef (10), — z Brześcia n/B., Iwańczykowa Marja (4) — z maj. Siernicze Wielkie, Izdebski Ryszard (10) — z Sandomierza, Jurkiewicz Eugeniusz (8) — z Wilna, Kamiński Władysław (10) — z Sochaczewa, Kiersnowski Józef (10) — z Baranowicz, Kowalska Marja (7) — z Włodzimierza, ktp. Krański Józef (10) — z Krakowa, Krupińska Aniela (9) z Łodzi, Kwiekowska Jadwiga (9) — z Cukrowni „Dobrzelin”, Malinowski Stefan (10) — ze Lwowa, M. Kazimierz (10) — z Płocka, Maliszewski Kazimierz (5) — ze Strzemieszyc, Misiewicz Karol (8) — z Cieszyna, Orzechowska Wanda (4) — z Otwocka, Pawiński Konstanty (9) — z Ostrołęki, Rozental D. (4) — z Łodzi, Sawicka Karolina (9) — z Białegostoku, Sieklucka Regina (8) — z maj. Emilczyn, Skupińska Marta (10) — z Zamościa, Solecki Michał (7) — z Wołomina,

Nr 50 (153) Zadanie liczbowe

(Za trafne rozwiązanie 3 punkty).

Należy litery zastąpić odpowiednimi liczbami i dokonać wskazanych działań.

$$\begin{aligned} D + J &= JZ. \\ JZZZ - DDD &= J. \\ WWW \times TR &= ŚŚWJJ. \\ DTWDZ : OA &= JJWI. \end{aligned}$$

DRRWŚ. JJAŚ. ŚWIAT.

(pod. :.)

Szeliga Barbara (10) — z Siedlec, Tobiasz Henryk (10) — z Kielc, „Tolek z Królewskiej” (10), Węgierski Tadeusz (10) — z Miłosnej, Wójcik Tadeusz (8) — z Wieliczki, Wysocka Ludwika (7) — z Dubna, Zabłocki Gabriel (9) — z Łucka, Zakrzewski Leon (10) — z Radomia, Zaleski Czesław (10) — z Kalisza, Zawadzka Anna (4) — z Ciechanowa, Zelcer Adam (10) — ze Lwowa.

NAGRODY KSIĄŻKOWE przypadły:

p. Bernatowiczowi Zygmuntowi z Milanówka,

p. Ceglińskiej Zofji z Warszawy,

p. Wysockiej Ludwice z Dubna.

Rozrywki umysłowe „ŚWIATA”.

dostępne dla wszystkich Czytelników, mają podwójny charakter: 1) współzawodnictwa przy rozwiązywaniu poszczególnych zadań i 2) turnieju wytrwałości.

Za trafne rozwiązanie każdego zadania zalicza się odpowiednią ilość punktów i rozlosowuje jedną nagrodę.

Zdobywcy największej liczby punktów w ciągu kwartału otrzymują pięć wartościowych nagród, nadto wśród Czytelników, którzy nadesłali trafne rozwiązania przynajmniej jednego zadania z każdego numeru w ciągu kwartału, rozlosowuje się pięć nagród pocieszenia.

Ogółem redakcja „Świata” przeznaczyła w bieżącym kwartale około pięćdziesięciu wartościowych nagród.

Rozwiązania nadsyłać należy w terminie 14-dniowym od daty każdego zeszytu pod adresem: Redakcja tygod. „Świat” Warszawa, Szpitalna 12, Dział Rozrywek Umysłowych.

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 22 DO TEATRU NARODOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

ważny od 15 do 21 lipca r. b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premier. Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT” uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów, o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia od godziny 6-ej po południu biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popularnych zniżka 50% oblicza się od cen normalnych.

50%

80 LAT
przodują



— Okropność! Jestem pogryziona przez pluskwy.
— De czego może doprowadzić głód!

„POLONIA”

Umieszcza codziennie artykuły najślaw-
niejszych publicystów z całej Polski.

Największe pismo polskie wydawane w Katowicach, stolicy Województwa Śląskiego.—Wychodzi 7 razy tygodniowo.—Pismo o stale wzrastającym nakładzie.

BEZKONKURENCYJNY ORGAN OGŁOSZENIOWY.

Ogłoszenia do „Polonii”, przyjmują wszystkie biura ogłoszeń.

Adres Administracji: Katowice, Sobieskiego 11. Telefon: 959, 960, 961, 962. Adr. telegr.: Redpol, Katowice.

ODDZIAŁY:

Miejski, Katowice, ul. Marjacka 5
Król.-Huta, Zjednoczenia 2, tel. 6-25
Rybnik, ul. Zamkowa 8, tel. 27

Sosnowiec, ul. 3-go Maja 5a, tel. 5-12
Poznań, Al. Marcinkowskiego 13, tel. 58-73
Warszawa, Marszałkowska 97, tel. 671-21

WYDAWCA: ŚLĄSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE I WYDAWN. „POLONIA” S.A. w KATOWICACH

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnośnikiem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA” PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata”, Szpitalna 12, Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEN”, Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj”, Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszer, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszer, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch”. POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa